

Jorunn Johansen

Tajemnica Wodospadu 46

W pułapce zła

Rozdział 1

Fiński Las, rok 1880

Wilk leżał nieruchomo, ale widać było, że oddycha. Gdy Anjalan kopnął go brutalnie, Amalie otworzyła usta, żeby zaprotestować. Zanim jednak zdążyła się odezwać, mężczyzna ruszył w jej stronę. Niczym we śnie widziała, jak podchodzi coraz bliżej. Wycelowała w niego.

- Jeszcze krok, a cię zastrzelę! - zagroziła. Ręce drżały jej ze strachu, ledwie mogła utrzymać strzelbę.

- Nie odważysz się! - warknął Anjalan buńczucznie i nawet się nie zatrzymał.

Pociągnęła za spust i powietrze przeszył huk wystrzału.

Mężczyzna spojrział na nią zdumiony, ale kiedy się zorientował, że nie trafiła, przyśpieszył tylko kroku.

Amalie nie miała czasu się zastanawiać. Wycelowała ponownie, lecz on okazał się szybszy. Rzucił się na nią, zanim zdążyła ponownie wystrzelić.

- Ratunku! - krzyknęła śmiertelnie przerażona.

W oddali majaczyły zabudowania Tangen, a ona leżała w rowie z obolałą twarzą i rozrywającym bólem w piersiach. Nigdy jeszcze tak bardzo się nie bała. Wiedziała, że walczy o życie.

- W końcu cię podszedłem, Amalie! W końcu mi się udało! - wysyczał Anjalan ze złością.

Przycisnął ją mocno do ziemi. Był tak ciężki, że z trudem łapała oddech; miała wrażenie, że zaraz się udusi.

- Puść mnie! - jęknęła. - Nie mogę oddychać.

- Bzdura! Wiem, że lubisz mieć chłopca na sobie. Wiła się, żeby zrzucić go z siebie, ale na próżno. W końcu jednak zsunął się z niej i wstał.

- Czego ode mnie chcesz? - spytała.

- Dowiesz się w swoim czasie. Wstawaj! Podniosła się i łapczywie zaczerpnęła powietrza.

Znow poczuła ostry ból w klatce piersiowej.

- Puść mnie! - powtórzyła. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- O, nie. Pójdiesz ze mną.

- Muszę wrócić do domu - przekonywała.

Anjalan chwycił ją za ramię i ścisnął mocno. Ponownie jęknęła. Spróbowała wyswobodzić się z uścisku, ale jej prześladowca był zbyt silny.

- Dlaczego mnie krzywdzisz? - szepnęła ledwo słyszalnie. - Muszę wrócić do domu - rozpacziała. Roześmiał się głośno i prychnął:

- Mnie nie oszukasz. Wiem, jak przebiegłe są kobiety. Chodź! Czeka nas droga przez las.

Amalie spojrzała na Wilka, który wciąż leżał na ziemi. Czy przeżyje? - pomyślała z lękiem. Może jednak ktoś go znajdzie i zapewni mu opiekę.

Ruszyła za Anjalanem. Wiedziała, że ucieczka nie ma sensu, poza tym ledwie była w stanie iść, a co dopiero uciekać.

- Nie pędź tak, wszystko mnie boli! - jęknęła. Zobaczyła przed sobą wielki las i zacisnęła usta.

Miała tam iść, wspinać się po zboczach krętymi ścieżkami... Już sama myśl o tym była nie do zniesienia. Anjalan stanął i nie puszczając jej ramienia, syknął:

- Prawie ci uwierzyłem...

- Musisz mi uwierzyć! Naprawdę potrzebuję pomocy doktora.

- Nie. Wybieramy się w podróż. Nigdy już nie wrócisz do domu, Amalie.

- Jak to? Dokąd chcesz mnie zabrać? - wyszeptała z trudem.

- Do Anglii. Wszystko zaplanowałem.

- Co?! Chyba żartujesz.

Znów próbowała mu się wyrwać i znów poczuła ból w klatce piersiowej.

- Muszę wrócić do męża i dzieci! - jęknęła. Dotarła do niej cała groza sytuacji.

W końcu udało jej się oswobodzić ramię. Wiedziała, że musi działać szybko. Pobiegła przez torfowisko, zaciskając zęby z bólu i bezsilności.

Zastanawiała się, kiedy Anjalan to wszystko zaplanował. Pewnie już dawno i tylko czekał na okazję. Zastawił na nią pułapkę, a ona dała się w nią złapać! Powinna się domyślić, że nie wyjechał, tylko cały czas krążył gdzieś w pobliżu. Okazała się głupia i nieostrożna.

Biegła, choć bolesne klucie w piersiach wyciskało jej łzy z oczu. Słyszała prześladowcę za sobą; wiedziała, że nie da rady mu uciec. Mimo to postanowiła spróbować, nie chciała poddać się bez walki.

Rozpaczliwie myślała o Olem i dzieciach. Nagle przeszył ją tak paraliżujący ból, że musiała usiąść na kamieniu. Nie miała siły dłużej walczyć. Była zgubiona.

Anjalan chodził w kółko po trawie.

- Nie ułatwiasz mi zadania, ale wszystko zostało już zaplanowane. Niczego nie zmienię. Musimy dotrzeć do miasta, na pociąg, a potem na statek, który odpływa za dwa dni - mówił bardziej do siebie niż do niej.

Jęknęła.

- Czego ode mnie chcesz?! Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

- Jesteś moim dobrym duchem. Zostaniesz moją żoną i matką moich dzieci. Kupię ci eleganckie suknie, żebyś nie odróżniała się od bogatych dam w Londynie. Zapewnię ci dostatnie życie.

Nie wierzyła własnym uszom. On chyba oszalał!

- Nie rozumiesz, że to niemożliwe? Nie mogę zostać twoją żoną. Moim mężem jest Ole!

- Dla mnie to bez znaczenia, a w Londynie nikt nie wie, że masz męża. Wstań, musimy iść dalej. Za sześć - siedem godzin odchodzi pociąg z Kongsvinger.

- Nie, nie pójdę z tobą. - Znów pomyślała o Tangen i dzieciach.

Ale on się tylko roześmiał.

- Wychodzi z ciebie dzika kotka! Tego się spodziewałem. - Nachylił się nad nią, chwycił ją za rękę i pociągnął na ścieżkę. - Lepiej mnie słuchaj, Amalie, bo nie zawaham się użyć noża. Przyłożę ci go do policzka i pociągnę. Nie będziesz już taka piękna - zagroził i uśmiechnął się złowieszczo.

Spojrzała w jego ciemne oczy i wiedziała, że nie żartuje. Nie miała wyjścia, musiała powlec się za nim. Do tej gęstej części lasu ludzie rzadko się zapuszczali, nie mogła więc liczyć na żadną pomoc.

Anjalan zerknął na nią i spytał:

- Płaczesz?

- Chcę wrócić do domu! - zaszlochała. - Pozwól mi odejść, proszę. Zamierzasz podróżować z brzemienną kobietą?

Zatrzymał się i puścił jej rękę.

- Jesteś brzemienna? Nie, na pewno kłamiesz!

- Ależ to prawda! Nie widzisz mojego zaokrąglonego brzucha?

- Idziemy dalej, ani myślę tego słuchać. Jesteś sprytna i próbujesz mnie nabrać!

Ruszyła za nim, ale już po chwili osunęła się na ścieżkę. Anjalan uklęknął obok niej.

- Wstawaj! Dość tych sztuczek! - wysyczał.

Widziała złość w jego oczach, lecz było jej wszystko jedno. Ból rozrywał jej piersi, nie miała siły się podnieść. Przestała bać się jego krzyków i grózb.

- Nie mogę dalej iść. Musisz mnie tu zostawić - szepnęła z trudem.

- Nie ma mowy! Wstawaj, no już!

- Nie dam rady. Coś mi się stało. Boli mnie cała klatka piersiowa.

Położyła się na ziemi i zamknęła oczy. Marzyła tylko o odpoczynku.

Ni stąd, ni zowąd Anjalan chwycił ją pod rękę i podniósł. Nie była na to przygotowana i zawyła z bólu.

- Co ty robisz?!

- Jesteś dobrą aktorką, ale mnie nie nabierzesz. Pójdiesz ze mną, choćbym musiał cię nieść. - Więc mnie nieś - rzuciła oszołomiona. Wziął ją na rękę i stwierdził ze zdziwieniem: - Jesteś ciężka.

Nie odpowiedziała. Znów zamknęła oczy i poczuła, że kręci jej się w głowie.

- Kawalek cię poniosę, ale potem będziesz musiała iść sama - warknął ze złością.

Amalie poczuła, że zapada w ciemność i po chwili ogarnął ją błogi mrok.

Rozdział 2

Sofie siedziała w kościele w jednej z pierwszych ławek i z zachwytem słuchała Lukasa. Mówił żarliwie, z wiarą i pasją. I cały czas zerkał na nią oczami pełnymi miłości. Ona też patrzyła na niego z uczuciem. Kiedy powiedziała mu, że spodziewa się dziecka, podniósł ją i z radości zakręcił nią kilka razy w kółko.

Kochała go bardziej niż kiedykolwiek. Kościół był wypełniony po brzegi, bo ludzie lubili słuchać jej męża pastora. Widziała, jak patrzą na niego z podziwem, i przepęłniała ją duma.

Obok niej siedziała Konstane w swojej niedzielnej sukience, z włosami zaplecionymi w warkocz. Błyszczącymi oczami przyglądała się Lukasowi, swojemu nowemu ojcu.

Sofie była zadowolona.

Lukas dał znak, żeby ludzie wstali.

- Módlmy się! - powiedział.

Przeczytał fragment z Biblii, odwrócił się i podszedł do ołtarza. Nabożeństwo dobiegło końca i Sofie odłożyła modlitewnik na ławkę.

- Teraz pójdziemy coś zjeść - odezwała się cicho do Konstane, a ta ochoczo pokiwała głową.

Lukas zniknął w zakrystii, ludzie powoli wstawali z ławek i Sofie zaczęła zbierać śpiewniki. Nagle podszedł do niej obcy mężczyzna i pochwalił:

- Bardzo ładne nabożeństwo. Pani mąż to mądry człowiek.

- Dziękuję - bąknęła zdziwiona. Konstane pociągnęła ją za spódnicę. - Jestem głodna.

- Zaraz będziemy jeść - zapewniła Sofie i uśmiechnęła się do Lukasa, który szedł właśnie w ich stronę.

- Tu jesteście! - ucieszył się i wziął dziewczynkę na rękę.

Obcy mężczyzna skłonił się im i odszedł. Lukas patrzył za nim przez chwilę.

- To chyba ktoś nowy. Nie widziałem go tu wcześniej. - Ja też nie. Chwalił twoje kazanie.

- Miło mi to słyszeć. A teraz chyba pora coś zjeść. Jestem głodny jak wilk - dodał.

Wyszli razem na plac przed kościołem. Sofie spojrzała na ogrodzenie i ze zdziwieniem zauważyła, że w trawie leży pies.

- Ktoś zostawił psa - zwróciła się do Lukasa.

- Rzeczywiście, trzeba go stąd zabrać.

Sofie znów popatrzyła na psa. Leżał nieruchomo z wysuniętym językiem. Czyżby był chory? Podbiegła i ukucnęła przy nim.

I nagle go poznała. To był Wilk, prawdziwy wilk z lasu należący do Amalie i Olego!

Co on tu robi? Usiadła na trawie i zobaczyła ślady krwi. Lukas uniósł łapę zwierzęcia i wtedy spostrzegli ranę na jego brzuchu.

- Nie wygląda to dobrze. Zaniosę go do domu - zmartwił się Lukas i ostrożnie wziął Wilka na ręce.

- Muszę zawiadomić Amalie i Olego - zdecydowała Sofie.

- Dobrze, jedź do nich. I wezwij lekarza - poparł ją Lukas.

Zaniósł Wilka do domu, a za nim podreptała Konstanse. Sofie pobiegła do stajni, osiodłała konia, wyprowadziła go szybko i wsiadła na jego grzbiet. Najwyraźniej Wilk uciekł z domu. Ale dlaczego jest ranny? - zastanawiała się.

Dojechała do drogi, skręciła w prawo i ruszyła galopem. Zatrzymała się przed domem doktora Jenssena i zsiadła z konia. Doktor wychodził właśnie z obory.

- Potrzebuję pomocy! - zawołała.

- A co się stało? - spytał.

Z przejęciem opowiedziała mu o Wilku. Jenssen wysłuchał jej i wrócił do domu po torbę lekarską.

- Już jadę - rzucił. - Trzeba zawiadomić Hammesów - dodał.

Sofie pojechała dalej, do Tangen. Na dziedzińcu zobaczyła Juliusa. Jak zwykle, podbiegł do niej i powitał ją z uśmiechem:

- Sofie, miło cię widzieć!

- Dziękuję, Julius. A gdzie jest Amalie? - zapytała, zsiadając z konia.

- Wybrała się na spacer z Wilkiem.

- Co takiego?! Właśnie znaleźliśmy Wilka. Jest ranny! Teraz była już pewna, że coś musiało się stać. Julius przeciągnął dłonią po twarzy.

- Ranny? - zdziwił się. - Nie rozumiem...

- Znaleźliśmy go pod murem kościelnym. Wygląda na to, że ktoś zranił go nożem.

Julius patrzył na nią przerażony.

- Jesteś pewien, że Amalie nie wróciła? - dopytywała się Sofie.

- Tak. Poszukam Adriana i Larsa. Coś musiało się wydarzyć - mruknął i zanim Sofie zdążyła zareagować, pognął do izby czeladnej.

Sofie weszła do domu i w progu natknęła się na Maren, która wychodziła właśnie z kuchni ze szczotką w ręce.

- Jest Amalie? - zagadnęła ją Sofie.

- Nie, poszła się przejść. - Boże! A gdzie Ole? Coś się stało. Maren spojrzała na nią zdumiona.

- O czym ty mówisz?

- Znaleźliśmy Wilka przy ogrodzeniu kościelnym. Ledwo żyje. Amalie musiało coś się przytrafić.

- Ale co?

Sofie nie odpowiedziała, tylko powtórzyła niecierpliwie:

- Gdzie jest Ole?

- We dworze.

- Niech Julius zbierze parobków. Trzeba poszukać Amalie - zdecydowała Sofie.

Na dziedzińcu zobaczyła Larsa i Adriana. Każdy z nich prowadził swojego konia. - Jadę z wami! - oznajmiła. Mężczyźni ruszyli przodem, a ona za nimi.

- Nie powinniśmy poczekać na Juliusa?! - zawołała. - Nie możemy tracić czasu. Julius nas dogoni - rzucił Lars przez ramię.

Sofie z niepokojem myślała o tym, co mogło się przytrafić siostrze. Obawiała się, że to coś poważnego. Wilk był ranny, a Amalie zniknęła.

Nagle Lars zatrzymał konia i wskazał na coś ręką.

- Patrzcie, tam leży strzelba!

Szybko zeskoczyli z koni. Adrian i Lars podeszli bliżej i ukucnęli. Sofie przyglądała się chwilę leżącej w rowie strzelbie. Przy drodze zauważyła kałużę krwi. Pomyślała, że to zapewne krew Wilka.

- To sprawka Anjalana. Jestem tego pewien - stwierdził Lars.

- Też tak sędzę - poparł go Adrian.

Sofie poczuła, że serce podeszło jej do gardła.

Weszła do pokoju, w którym doktor zszywał ranę Wilka. Obok stał Lukas i przyglądał się zabiegowi z poważną miną.

Sofie podeszła do doktora.

- Co z nim? - spytała cicho, wskazując głową na Wilka.

Doktor Jenssen spojrzał na nią i wrócił do pracy.

- Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Na szczęście rana nie jest głęboka, ale stracił dużo krwi.

- Szukaliśmy Amalie, niestety bezskutecznie. Zniknęła bez śladu. Lars i Adrian powiadomią lensmana.

Lukas westchnął zaniepokojony.

- Dlaczego wyszła sama? Przecież było wiadomo, że w okolicy kręci się Anjalan.

- To prawda, ale wszystkim się wydawało, że przestał być niebezpieczny. Pewnie Amalie też uznała, że nic już jej nie grozi.

Sofie popatrzyła na Wilka. Leżał na stole z zamkniętymi oczami i oddychał ciężko. Miała nadzieję, że przeżyje. Wiedziała, jak bardzo jej siostra jest do niego przywiązana.

Doktor skończył zszywać ranę i zamknął torbę lekarską.

- Zrobiłem, co mogłem. Powinien się z tego wylizać, ale musimy poczekać.

- Dziękuję za pomoc. Odprowadzę cię do drzwi - powiedział Lukas.

Doktor skinął głową Sofie i wyszedł, a ona usiadła obok Wilka i zaczęła delikatnie gładzić go po głowie i grzbiecie.

- Obiecuj mi, że wyzdrowiejesz - szeptała. - Amalie bardzo cię lubi.

Rozdział 3

Cztery dni później

Ole wjechał na dziedziniec szczęśliwy, że nareszcie wrócił do domu. Ostatnio udało mu się sporo zarobić. Sprzedał kilka koni, interesy szły znakomicie. August dbał o gospodarstwo, a służba robiła, co do niej należało, nawet pod jego nieobecność we dworze.

W drodze powrotnej odwiedził Trona w gospodarstwie Furuli. Znalazł go w doskonałym humorze. Tron dobrze wyglądał, przytył, a towarzystwo synków Muikka wyraźnie mu służyło.

Stęsknił się za Amalie, codziennie o niej myślał. Zeskoczył z konia i prowadził go do stajni, gdy podszedł do niego Julius.

- Ole, nareszcie jesteś! Dostałeś mój list? - wykrzyknął.

Gospodarz spojrział na niego zdziwiony.

- List? Wysłałeś do mnie list? Dlaczego?

- Amalie zniknęła! - wyrzucił z siebie Julius, spuszczać wzrok.

- Zniknęła?!

- Podejrzewamy, że uprowadził ją Anjalan. Przeszukaliśmy kawał lasu, ale jej nie znaleźliśmy. Wilk jest u Sofie. Ledwie uszedł z życiem.

- Wilk? A co mu się stało?

- Przypuszczalnie stanął w obronie Amalie i został dźgnięty nożem. Na szczęście doktor Jenssen go uratował.

Ole patrzył na Juliusa zdumiony.

- Nic z tego nie rozumiem - przyznał w końcu. - Zniknęła. Nie znajdziemy jej!

- Nadal nic nie rozumiem. Kiedy to się stało? - Ole zauważył, że drżą mu ręce.

- Cztery dni temu. Wybrała się z Wilkiem na spacer - odparł Julius.

Gospodarz znów na niego spojrział i oświadczył: - Jadę jej szukać. Nie mamy czasu do stracenia.

- To bez sensu, Ole. Szukaliśmy jej cztery dni. Dotarliśmy aż pod szwedzką granicę.

Olemu kręciło się w głowie.

- Nie mogę w to uwierzyć! - powtarzał. - Jesteś okropnie blady. Idź, weź kąpiel, odśwież się trochę. Będziesz jaśniej myślał - radził Julius.

- Ja miałbym brać kąpiel? Teraz, kiedy moja Amalie zniknęła? Co ty sobie wyobrażasz? Natychmiast jadę jej szukać!

Szybko wskoczył na koński grzbiet. Nie mógł siedzieć beczynn timer w Tangen. Musiał znaleźć Amalie.

Dwa dni później

Ole robił wszystko, żeby utrzymać się w siodle. Potrzebował snu, ale nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek. Gdzieś tam w lesie była Amalie. Szukał jej wszędzie, niestety na próżno. W końcu postanowił, że wróci na krótko do domu, prześni się i ruszy dalej.

Wkrótce zobaczył przed sobą zabudowania Tangen. W oknach paliło się światło, z obory dochodziło muczenie krów, w zagrodzie kwiczały świni e. Liście na drzewach wokół dziedzińca zaczęły już żółknąć, zboże zostało dawno zwiezione.

Dotarł do domu, zeskoczył z konia i oddał lejce parobkowi. Drżał ze zmęczenia i wprost padał z nóg. Wziął się jednak w garść, kiedy zobaczył wybiegającą z domu Ingę.

Schylił się, podniósł ją i długo do siebie tulił.

- Jak to dobrze, że znów jesteś z nami - powiedział.

Po chwili postawił ją na ziemi i przyjrzał się jej bacznie. Zauważył, że wyrosła.

- Nikt nie wie, co się stało z Amalie - odezwała się Inga smutno.

- Tak, to straszne, ale w końcu ją znajdziemy - zapewnił Ole.

- Bardzo za nią tęsknię.

- Chodź, wejdziemy do środka - zaproponował. W tym momencie z domu wybiegła Maren. Suknia owinęła się jej wokół nóg, siwe włosy sterczały na wszystkie strony.

- Nie znalazłeś jej! - zawołała z rozpaczą. Ole pokręcił głową.

- Nie, nigdzie jej nie ma. A szukałem chyba wszędzie... - zaczął i nagle przerwał. Maren pogładziła go po policzku.

- Powinieneś odpocząć, biedaku.

- Tak, masz rację - westchnął ciężko. Wziął Ingę za rękę. - Chodźmy do domu. Ledwie się trzymam na nogach. - I ruszyli po schodach.

- Gdzie ona może być? - zastanawiała się głośno Maren. Ole zatrzymał się i odparł:

- Obawiam się, że Anjalan mógł ją uprowadzić do swojego kraju. Ta myśl nie daje mi spokoju.

- Do Finlandii?

- Tak. Boję się, że w Fińskim Lesie już jej nie ma. Oczywiście, nie przeczesałem całego lasu, ale byłem w wielu miejscach i nigdzie nie znalazłem nawet jej śladu. Ani jej, ani Anjalana.

W sieni Ole puścił rękę Ingi.

- Idź z Maren do kuchni. Chcę chwilę побыć sam - powiedział najłagodniej, jak potrafił.

Dziewczynka posłusznie podreptała za Maren, a on wszedł do pokoju i opadł na krzesło przed kominkiem. Westchnął i zamknął oczy.

Gdzie jesteś, Amalie? Czy w ogóle żyjesz?

Miał wrażenie, że zaraz zwariuje. Cały czas wydawało mu się, że słyszy jej głos, czuł jej ból.

Do pokoju zajrzała Helga.

- Nareszcie jesteś! Tak się boję o Amalie. Maren mówiła, że jej nie znalazłeś.

Usiadła przed nim i patrzyła na niego pytająco.

- Nigdzie jej nie ma, Helgo.

- Prosiłam, żeby nie odchodziła za daleko, ale ona jest uparta. Musiała wypuścić się gdzieś dalej - ubolewała stara służąca.

- No cóż, Helgo. Taka już jest ta nasza Amalie. - To na pewno sprawka Anjalana. Któż inny mógłby coś takiego zrobić?

- Obawiam się, że masz rację. Kręcił się tu, węszył, pewnie czekał na właściwy moment...

- A my niczego się nie domyśliliśmy - westchnęła Helga.

- Zaczekał, aż wyjadę, i wtedy przypuścił atak - dodał Ole cicho.

- Amalie jest brzemienna. Mam nadzieję, że nic jej się nie stanie, że nie straci dziecka.

Ole też się tego obawiał. Myśl o tym nie dawała mu spokoju, kiedy jeździł po lesie i szukał żony. Był to początek ciąży, a wtedy zwykle Amalie nie czuła się najlepiej. Poza tym niedawno straciła dziecko. Oby tylko udało jej się zachować to, które teraz nosiła pod sercem.

- Tak, Ole, nadzieja to jedyne, co nam zostało - rzuciła Helga i wstała powoli. - Pójdę pomóc dziewczętom przygotować ci kąpiel - dodała. - Strasznie wyglądasz, kąpiel dobrze ci zrobi.

- Pewnie tak, tylko nie wiem, czy... - urwał i zamilkł. - I tak wciąż będę o niej myślał - dokończył.

- Doskonale cię rozumiem, Ole - przyznała Helga. Słyszał troskę i niepokój w jej głosie. Przełknął ślinę, żeby się głośno nie rozplakać.

- Ole, biedaku. Ty płaczesz?

Zakrył twarz dłońmi, a stara służąca znów usiadła na krześle.

- Ja już wypłakałam wszystkie łzy. Teraz musimy być silni i wierzyć, że do nas wróci - powiedziała łagodnie.

- Nie chcę bez niej żyć. Nie zaznam spokoju, dopóki znów nie będzie ze mną. Tu jest jej miejsce!

Rozdział 4

Elise zerknęła na Ivera, który siedział obok niej i jadł. Od kiedy zobaczył ją i Torsteina razem w łóżku, zachowywał się dziwnie. To przyglądał jej się z pożądaniem swoimi wielkimi oczami, to patrzył na nią z nienawiścią.

Torstein uważał, że Iver jest niegroźny, ale Elise była zaniepokojona. Widziała, że chłopak się zmienił, chociaż jego brat tego nie dostrzegął. Westchnęła cicho i ucieszyła się, kiedy dołączył do nich Torstein. Usiadł przy stole i wziął do ust kawałek mięsa. Spojrzał na nią płonąącym wzrokiem.

Kochała go tak bardzo, że czasem aż kręciło jej się w głowie. Nigdy jeszcze nie zaznała takiego uczucia.

Iver skrzywił się i przyłożył dłoń do policzka.

- Boli, boli! - jęknął i odłożył kawałek mięsa z powrotem na talerz.

- Znow dokuczają ci zęby? - spytał Torstein. Iver skinął głową.

- Boli. Bardzo boli - potwierdził.

Lekko się zataczając, podszedł do łóżka, położył się na nim i skulił.

- Nie chcę go! Nie chcę tego zęba! - krzyknął.

- Tak nagle cię rozbolał? - odezwała się Elise cicho.

- Nie, boli go już od kilku dni - westchnął Torstein. - Iver, będziemy musieli popłynąć na wyspę. Nie ma co zwlekać.

- Gdzie jest ta wyspa? - zainteresowała się Elise. - Niedaleko. Chcesz popłynąć z nami? Mam łódź w pobliżu.

- Chętnie, ale dlaczego wybrałaś akurat tę wyspę?

- Rośnie tam drzewo, które pomaga na ból zębów. - Ach, tak.

Torstein podszedł do brata, który związał się z bólu.

- Wstań, Iver, lepiej od razu tam popłynąć.

Iver podniósł się z łóżka i znow przyłożył rękę do policzka.

- Wiem, że cię boli - odezwał się Torstein współczująco.

Przemawiał do brata jak do dziecka. Elise widziała troskę w jego oczach. Podeszła do nich i po chwili szli już razem przez podwórze. Torstein skręcił w stronę sterty gałęzi, znalazł patyczek i podzielił go na drzazgi.

- Podejdź do mnie, Iver.

Brat posłusznie wykonał polecenie, ale nagle przeraził się i zaprotestował:

- Nie chcę drzazgi między zębami!

- Inaczej nie będzie działać - przekonywał go Torstein. - Przechodziłeś już przez to; wiesz, na czym to polega.

Iver skinął głową, a Torstein uśmiechnął się zadowolony.

- Chodź, musimy się pośpieszyć. Dopłynięcie do wyspy zajmie nam trochę czasu.

- Co będziesz tam robić? - dopytywała się zaintrygowana Elise.

- Zaczekaj, a zobaczysz.

- No dobrze - ustąpiła mu.

Ruszyli przodem, a za nimi biegł Iver z drzazgą między zębami.

Dotarli do łódki, Torstein odwiązał ją i zaciągnął nad wodę. Iver przyniósł wiosła, cały czas pojękując z bólu.

Wsiedli do łodzi i popłynęli na wyspę widoczną z oddali. Elise widziała rosnące tam wysokie świerki.

Nie miała pojęcia, co Torstein planował, ale wiedziała, że musi uzbroić się w cierpliwość. Torstein wiosłował zawzięcie i łódź szybko posuwała się do przodu.

Dopłynęli na miejsce, Elise wysiadła i pomogła Torsteinowi przywiązać łódkę liną do dużego kamienia przy brzegu.

Iver także wyszedł na ląd i wszyscy troje ruszyli w stronę nieco oddalonego samotnego świerka.

- Teraz wyciągnij ostrożnie drzazgę, Iver. Zobaczysz, że wkrótce poczujesz się lepiej.

Elise pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Nie lepiej usunąć ząb, a nie drzazgę?

- Nie ma takiej potrzeby. Ból zaraz przejdzie. Nie trzeba usuwać zęba - zapewnił Torstein z uśmiechem.

Najwyraźniej był święcie przekonany, że świerk pomoże bratu, więc Elise zamilkła. Nie chciała się w to mieszać.

Spojrzała na stojące przed nią drzewo. W pniu tkwiło wiele drzazg i niewielkich patyczków. A kiedy zobaczyła, że Iver też wyjmuje z ust drzazgę i wbija ją w pień świerka, nie potrafiła ukryć zdziwienia. Torstein zauważył to, uśmiechnął się szeroko, podszedł do niej i objął ją ramieniem.

- Musimy chwilę poczekać. Zaraz Iver będzie skakał i tańczył z radości.

- Tak myślisz? - spytała sceptycznie.

- Oczywiście. Kiedy zaczynają boleć go zęby, zawsze tu przyjeżdżamy. Nie jemu jednemu ten świerk pomógł. Dlatego nadal mam wszystkie zęby - oznajmił z dumą. Spojrzał na Ivera, który siedział na trawie z zamkniętymi oczami. - Iver zawsze bardzo się tego boi, ale on już taki jest. Tchórzliwy. A powinien wiedzieć, że to jedyne, co naprawdę pomaga.

Elise popatrzyła na pień drzewa. Zastanawiała się, czy wielu Finów wierzy w leczniczą moc świerka.

Torstein jakby czytał w jej myślach, bo odezwał się nagle:

- Ludzie często tu przyjeżdżają. Od wielu, wielu lat. Iver wyprostował się, pokiwał głową i uśmiechnął się z ulgą.

- Zniknął. Ból zniknął! - zawołał.

- Dobrze, możemy więc wracać - uznał Torstein. Pocałował Elise w policzki i odwiązał łódź. Wsiedli do niej i popłynęli z powrotem na ląd. Na miejscu Torstein sprawnie wciągnął łódkę na brzeg. Zadowolony Iver pobiegł przodem, skacząc przez kamienie.

- Widzisz? Ból zniknął, a Iver zachował ząb - odezwał się Torstein.

- Widzę, ale jak to możliwe? - Tego nie potrafię ci wyjaśnić. Wiem tylko, że świerk pomaga.

Położył rękę na jej ramieniu i spojrzał poważnie.

- Dobrze ci tu u nas? - spytał. - Tak, oczywiście. Bardzo dobrze.

- Cieszę się, bo ogromnie cię lubię.

Elise popatrzyła mu w oczy. Czekwała na te słowa. One ją uspokoiły.

- Ja też cię lubię, Torstein.

Wypowiedzenie tych słów przyszło jej z pewnym trudem. Czowała się nieco skrępowana i zawstydzona jego ciepłym spojrzeniem.

Torstein wziął ją za rękę i ruszyli przed siebie. Iver gdzieś zniknął, ale słyszeli, jak głośno śpiewa.

- Znów jest radosny. Dobrze, że namówiłem go na tę wyprawę - stwierdził z ulgą Torstein.

Elise czuła się szczęśliwa. Przepelniała ją miłość. Nigdy dotąd nie przeżywała czegoś podobnego. Kiedyś kochała się w Gabrielu, ale to było zupełnie inne uczucie. Nie tak silne, nie tak intensywne. Teraz cały czas chciała być w pobliżu Torsteina. Marzyła, żeby położył się obok niej, gładził ją po włosach, zaspokoił jej tęsknotę. Wiedziała jednak, że na razie jest to niemożliwe. Bracia dzielili pokój, a ona miała izdebkę z wąskim łóżkiem.

Ale kiedyś to się zmieni, pomyślała. Kiedyś.

Nagle ze zdziwieniem zobaczyła, że Iver biegnie do nich i z przejęciem macha rękami.

- Przyjechał jakiś obcy mężczyzna! - krzyczał. Sprawiał wrażenie przestraszonego.

Torstein jednak tylko się roześmiał. - I dlatego tak się zaniepokoiłeś? To chyba miło, że ktoś nas odwiedził?

- Nie znamy go - rzucił Iver już trochę spokojniej.

- To nie ma znaczenia. Zrób kawę. Pójdę się z nim przywitać.

Elise zobaczyła gościa i zatrzymała się gwałtownie. Mężczyzna wydał się jej znajomy.

Torstein podszedł do przybysza, a ona usiadła na kamieniu i próbowała sobie przypomnieć, skąd zna tego człowieka. Była pewna, że go już gdzieś widziała. Wysoki, młody, jasne włosy, ładny uśmiech... Kto to taki? Nagle przypomniała sobie i aż się wzdrygnęła. To był jeden z jej klientów z Kristianii!

- Elise, chodź do nas! - zawołał Torstein. - Przygotuj naszemu gościowi coś do jedzenia - dodał i ruszył szybko przed siebie. Wszedł do domu, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Elise wiedziała, że nie może pokazać się przybyszowi. Znał jej przeszłość, mógł ją zdradzić, zniszczyć jej kiełkujące szczęście.

Z domu wyszedł Iver.

- Zrób jedzenie! - nakazał jej surowo.

Jego ton ją zaniepokoił, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Zaraz przyjdę. Muszę tylko chwilę odpocząć.

- Chcę jeść. A ty masz słuchać Torsteina! - rzucił Iver ze złością.

- Zaraz przyjdę. Nie bądź taki natrętny. Zbliżył się do niej o krok.

- Widziałem ciebie i mojego brata. Zaczarowałaś go. To mi się nie podoba.

A więc tak, pomyślała. Iver był zły, bo ona i Torstein...

Nagle chłopak schylił się i chwycił ją za rękę.

- Puść mnie! - krzyknęła rozzłoszczona.

- Nie.

Stała i patrzyła w twarz Ivera, pociemniała z wściekłości. Jak Torstein mógł się upierać, że jego brat jest niegroźny? Iver wyraźnie stanowił dla niej zagrożenie, widziała to w jego oczach.

- Puść mnie! - powtórzyła.

Nagle chłopak uśmiechnął się sprytnie.

- Jak pokażesz mi piersi. Wszyscy mają mnie za głupka, lecz ja wiem, co kobieta robi z mężczyzną. Może i brakuje mi rozumu, ale jestem mężczyzną! - dodał.

Elise przełknęła ślinę. Zaczęła naprawdę się bać. Poza tym Iverowi cuchnęło z ust. Niemal bała się oddychać.

- Jeśli mnie nie puścisz, zawołam twojego brata. Będzie na ciebie zły i zamknie cię w... - zamilkła, bo nagle Iver zakrył jej usta dłonią tak mocno, aż zaboląło. Patrzyła na niego wielkimi przerażonymi oczami.

- Ty dziwko! - syknął. - Oszukałaś mojego brata. Wiem, kim jesteś.

Elise nachyliła się i z całej siły ugryzła go w rękę. Iver cofnął się i ze zdziwieniem patrzył, jak krew kapie z jego dłoni.

- Ugryzłaś mnie. To niedobrze. Nie powinnaś tego robić.

- Puść moją rękę. Torstein na mnie czeka.

- Nie, najpierw chcę zobaczyć twoje piersi. Szarpnął ją tak mocno i brutalnie, że jęknęła z bólu.

- Puść mnie! - powtórzyła po raz kolejny. Zaczęła walić pięściami w jego klatkę piersiową, on jednak wydawał się nie zwracać na to uwagi. Znow szarpnął ją i pociągnął ją w kierunku leśnej polanki.

- Ratunku! Pomocy! - krzyczała, ale Torstein się nie pojawił. Dlaczego?

Coraz bardziej oddalali się od chaty. Już ledwie widziała drewniane ściany stodoły.

Bolała ją ręką, próbowała uwolnić się z uchwytu Ivera, ale on trzymał mocno.

- Zrób ze mną to, co robiłaś z moim bratem! - zażądał. - I po co tak wrzeszczysz? - obruszył się i rzucił ją na ziemię.

Elise przełknęła ślinę. Przerażona, wpatrywała się w jego niebezpieczne zimne oczy. Po chwili znow spróbowała się uwolnić, ale natychmiast chwycił ją mocniej za rękę i przyciągnął do siebie. Nadaremnie kopała go, biła i gryzła. Położył się na niej i przydusił ją swoim ciężarem.

- Puść mnie! - wrzasnęła.

Znieruchomiał na chwilę i spojrzał na nią zdziwiony. Potem szarpnął z całej siły za suknię i obnażył jej piersi.

- Puszczaj! Powiem wszystko twojemu bratu! - zagroziła.

Znowu zaczęła okładać go pięściami, ale on ani drgnął. Przyglądał jej się tylko zafascynowany. Potem nieco niezdarnie rozpiął spodnie. I wtedy usłyszała kroki. Odwróciła głowę i zobaczyła Torsteina.

- Iver! Co ty robisz?!

Elise zepchnęła z siebie napastnika. Po jej policzkach spływały łzy.

Iver wstał szybko czerwony na twarzy.

- Nic ci się nie stało? - zwrócił się Torstein do Elise i przytulił ją do siebie.

Po chwili podszedł do brata.

- Co ty wyprawiasz? Napadłeś na nią? Jak mogłeś?!

- To dziwka! - burknął Iver.

- Co ty wygadujesz? Idź do izby i się połóż. Nie wolno ci napastować mojej dziewczyny. - Twojej dziewczyny?

- Tak, Elise jest moją dziewczyną. Wracaj do siebie i zastanów się, co zrobiłeś. Jeśli jeszcze raz zobaczę, że chcesz ją skrzywdzić, będziesz musiał radzić sobie sam.

Iver skinął głową, nie odrywając wzroku od Elise. A ona skuliła się pod jego nienawistnym spojrzeniem. Była pewna, że nigdy nie zostawi jej w spokoju. Postanowiła pomówić o tym z Torsteinem.

- Przepraszam za mojego brata - powiedział Torstein. - Nie rozumiem, co go naszło - dodał z niedowierzaniem. Nigdy wcześniej nawet nie spojrzał na kobietę.

- Mylisz się, Torsteinie. Kiedy kochaliśmy się pierwszy raz, podglądał nas przez okno.

Torstein otworzył szeroko oczy.

- Co ty mówisz?! Dlaczego to przemilczałaś?

- Nie chciałam sprawiać ci przykrości, ale czułam się okropnie.

- No trudno. Od tej pory nie możesz zostawać z nim sama. Nie mam pojęcia, co może mu przyjść do głowy. On nie jest taki jak my...

- Owszem, ale to go nie usprawiedliwia. Jestem przekonana, że wiedział, co robi. Poznałam to po jego oczach.

- Nie wierzę - odparł Torstein.

- Przecież sam widziałeś...

- Tak, ale...

- Nic cię to nie obchodzi! - przerwała mu Elise ze złością.

A więc Torstein nie kochał jej tak, jak sądziła. Bo w przeciwnym razie już dawno pozbyłby się brata z domu.

- Uspokój się, Elise. Porozmawiamy o tym później. Teraz musimy zająć się gościem. Jest głodny.

- Nie wyjdę do niego - odparła. - Mam podartą suknię i...

- No cóż, w takim razie sam nakryję do stołu i podam mu coś do jedzenia - westchnął Torstein.

- Przyjdę później, jak już wyjedzie - obiecała Elise i usiadła na kamiennych schodach.

Torstein odszedł, a ona zakryła twarz dłońmi. Wciąż drżała i nie mogła się uspokoić. Czuła się zbrukana. Nagle otworzyła oczy i zobaczyła Ivera. Wyszedł z domu i kierował się w jej stronę. Chciała uciec, ale nie była w stanie się ruszyć.

- Jestem głodny. Przygotuj nam coś do jedzenia! - zażądał.

Elise poczuła przyływ nienawiści.

- Nie chcę z tobą rozmawiać - burknęła. Iver chwycił ją za rękę i mocno ścisnął.

- Puść mnie! - wycodziła przez zęby.

- Jesteś tylko kobietą. Chodź! - krzyknął i pociągnął ją za sobą.

- Puszczaj, bo cię uderzę! - zagroziła. Zamierzyła się na niego wolną ręką, ale on złapał ją i przytrzymał. A potem wykręcił obie jej dłonie na plecach, aż jęknęła z bólu.

- Masz zrobić nam jedzenie! - powtórzył surowo. - Dzisiaj Torstein robi jedzenie - próbowała mu tłumaczyć, ale na próżno.

- Idź! - Pchnął ją, nie luzując uchwytu. Po chwili byli już w środku.

Gość, młody mężczyzna, podniósł głowę, spojrzał na nią i natychmiast ją rozpoznał. - Elise?! - zawołał zdumiony. - Ty tutaj?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc tylko skinęła głową. Iver puścił jej rękę i mogła zakryć nimi swoje obnażone piersi.

Torstein patrzył na nich ze zdziwieniem.

- Znacie się?

- Tak. Spotkaliśmy się w mieście - rzuciła szybko Elise, bojąc się, że gość zdradzi jej tajemnicę.

- No proszę. Nie wiedziałem, że tam bywałaś - mruknął Torstein i nalał gościowi kawy.

- To było jakiś czas temu - dodała cicho. Mężczyzna roześmiał się głośno.

- Znamy się całkiem dobrze. Elise zawsze była chętna - powiedział wyraźnie ubawiony sytuacją.

Elise miała ochotę zapaść się pod ziemię. Jej tajemnica wyszła na jaw.

Torstein stał i patrzył na nich z szeroko otwartymi ustami.

- Nie rozumiem...

- Pracowała tam. Wyświadczała przysługi mężczyznom. Byłem jednym z nich.

- O jakich przysługach pan mówi?

- Nic nie mówiła?

- Nie, nic nie wiem.

- Elise była dziwką.

Jej serce zamarło. Torstein patrzył na nią zdumiony, jakby słowa gościa jeszcze nie do końca do niego dotarły. Po chwili jego oczy zrobiły się czarne.

Teraz ją wyrzuci, każe jej iść precz. Nie zechce jej więcej widzieć, myślała z rozpaczą. Zdażyła się już tu zadomowić, polubiła to miejsce, no i kochała Torsteina. A teraz znów będzie musiała pójść do lasu, zostanie sama ze swoim wstydem. Ta myśl była nie do zniesienia.

Rozdział 5

Amalie otworzyła oczy. Jak długo spała? Rozejrzała się dookoła. Była w cuchnącej kajucie. Straszliwy odór przyprawił ją o mdłości. Statek kołysał się na falach, lampa na suficie także.

Przy stoliku siedział Anjalan i uśmiechał się z zadowoleniem.

- Nareszcie się obudziłaś. A już zacząłem się o ciebie martwić: Odkąd weszliśmy na pokład w Kopenhadze, nic tylko śpisz.

Amalie nie miała siły go słuchać. Czowała do niego nienawiść. Zagroził, że ją zabije, jeśli nie będzie mu posłuszna. Musiała mu ulec ze Względu na dzieci. W Kongsvinger wepchnął ją do pociągu i zawiózł do Kristianii. Tam zatrzymali się w gospodzie, gdzie śmierdziało stęchlizną, a w łózkach były jedynie cuchnące sienniki. Spędzili w tym obskurnym miejscu kilka dni, a potem popłynęli dalej.

Próbowała zwrócić na siebie uwagę innych ludzi, ale wszyscy odwracali tylko głowy. Anjalan zaś nie odstępował jej na krok. W życiu nie była taka brudna. Przetłuszczone włosy spadały jej w lepkich kosmykach na plecy, suknię miała wyświechtaną i obszarpaną. Wyglądała jak biedaczka, i tak się czuła. Chociaż statek nie był specjalnie elegancki, to jednak większość podróżnych sprawiała lepsze niż ona wrażenie.

Nie wiedziała, jak długo płyną, kiedy dotrą do Londynu, ani ile jeszcze drogi przed nimi. Zresztą jakie to miało znaczenie? Była uwięziona, zrozpaczona i obolała. Ból w klatce piersiowej nie ustępował.

Spojrzała na Anjalana z nienawiścią. Był odrażający, okrutny i bezwzględny. Niebezpieczny.

Pomyślała o swoich bliskich i poczuła ukłucie tęsknoty. Przełknęła łzy, żeby nie pokazać mu, jak bardzo cierpi. Wiedziała, że jej rozpacz tylko by go ucieszyła. On nie znał litości.

Wziął nóż i zaczął kroić jabłko na cząstki, przyglądając jej się wąskimi jak szparki oczyma.

- Jesteś strasznie uparta, Amalie. Powinnaś być dla mnie miłsza. Może wtedy pozwoliłbym ci wyjść na pokład - powiedział.

Włożył do ust kawałek jabłka i żuł powoli, nie spuszczając z niej wzroku.

- Kłamiesz. Nigdy byś mi na to nie pozwolił - odparła.

Poprawiła się na łóżku, bo było tak twarde, że bolały ją plecy.

- Musiałem cię ukarać. Okazałaś się bardzo niechętna do współpracy. Ale teraz masz możliwość poprawy - rzucił i wziął do ust kolejną część jabłka.

- Jesteś złym człowiekiem, Anjalan. Nie wezwałeś do mnie lekarza, chociaż boli mnie w klatce piersiowej - uskarżyła się i jęknęła cicho.

- Eee, to nic takiego. Też kiedyś miałem złamane żebra. Same się zrosną.

- Nie sądzę. Bardzo mnie bolą.

Wzruszył obojętnie ramionami, położył resztkę jabłka na stole i schował nóż.

- Idę na pokład. Przejdę się trochę, a ty odpoczywaj.

- Jest dzień czy noc?

W kajucie nie było żadnego źródła światła, straciła więc poczucie czasu.

- Niedługo wieczór - mruknął i otworzył drzwi. Amalie zauważyła, że wąski korytarz jest pusty.

- Dużo ludzi płynie tym statkiem? - zainteresowała się.

- Całkiem sporo.

- Zabierzesz mnie ze sobą na pokład? - zapytała, chociaż z góry знаła odpowiedź.

- Niestety, nie. Jeśli spokojniejsz i wpuścisz mnie do łóżka, wtedy się zastanowię - odparł i wyszedł z kajuty.

Usłyszała zgrzyt klucza w zamku, po czym zapadła cisza. Popatrzyła na zamknięte drzwi i rozplakała się żałośnie. Brakowało jej Olego i dzieci, tęskniła za swoim dawnym życiem. A jeśli już nigdy nie zobaczy bliskich? Ta myśl była nie do zniesienia.

Uderzyła pięścią w twardy materac i zaszlochała w poduszkę.

- Chcę do domu! Pomocy! - krzyknęła i skuliła się z bólu.

Czy ten ból kiedykolwiek ustąpi? Miała wrażenie, że z każdym dniem staje się coraz silniejszy. Nagle rozległ się lodowaty głos:

- Co ty wyprawiasz? Z daleka usłyszałem twoje krzyki. Jeśli zaraz nie zamilkiesz, zmuszę cię do tego! - zagroził jej Anjalan. - Włożę ci szmatę do ust. Chcesz tego?

Wzdrygnęła się z lęku i obrzydzenia.

- Nie, nie chcę, ale nie mogę tu tak leżeć. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Jest mi niedobrze i...

Anjalan uśmiechnął się szyderczo.

- Przejrzałem cię. Wiem, że jesteś przebiegła. Naprawdę wierzysz, że pozwolę ci wyjść na pokład? A jeśli zaczniesz krzyczeć i ludzie domyślą się, że nie jesteś tu z własnej woli? Nie, nie mogę ryzykować.

- A co zrobisz, jak dopłyniemy do Londynu? Wtedy będę musiała wyjść z tej kajuty.

- O tym jeszcze nie myślałem. Ale mam czas.

- Płyniemy już od wielu dni. - Nie.

Spojrzała na niego zdziwiona. Dlaczego kłamał?

- Kiedy dotrzemy do Londynu? Anjalan zacisnął pięść.

- Połóż się spać. A jeśli znów usłyszę twoje wrzaski, to cię zaknebluję. Możesz mi wierzyć.

- Będę milczeć - obiecała zrezygnowana.

- To dobrze. Bardzo rozsądnie. Zdrzemnij się, a potem dostaniesz coś do jedzenia.

Wyszedł i przekręcił klucz w zamku. Ona zaś położyła się i zaszczołała w poduszkę.

Nie wiedziała, jak długo tak leżała, kiedy drzwi znów się otworzyły i wrócił Anjalan z jedzeniem. Postawił tacę obok koi. Amalie była tak głodna, że rzuciła się łapczywie na suche kromki chleba.

- Zostaw trochę na później. To wszystko, co udało mi się zdobyć - ostrzegł, marszcząc czoło.

Przestała jeść i spojrzała na niego uważnie. - Myślałam, że zdobyłeś pieniądze. Płyniemy do Londynu. A taka podróż kosztuje.

- Nie mogę wydać wszystkiego. Mam wielkie plany. Nie zamierzam skończyć w rynsztoku.

- Przypuszczam, że tego nie unikniesz - odważyła się zauważyć.

- Tak sądzisz? Wiozę dużo srebra. Sprzedam je, jak już będziemy na miejscu.

A więc to srebro trzymał w worku. Faktycznie był bogaty.

Zaczęła jeść i popijać wodą. Potem znów się położyła i zamknęła oczy. Mężczyzna się zirytował, podszedł do niej i uderzył ją w policzek.

- Co ty robisz?! - zawołała i uniosła się na łokciach.

- Nie skończyłem jeszcze z tobą rozmawiać - odparł ze złością.

- Jestem zmęczona i bolą mnie zębra. Poza tym maleństwo w moim brzuchu potrzebuje spokoju. Mówiłam ci, że spodziewam się dziecka, ale ty nie chciałeś mi wierzyć.

- Bzdura. Mnie nie okłamiesz.

- Nie widzisz, jaki mam brzuch?

- Przytyłaś trochę i tyle.

Nie ciągnęła tematu, bo i po co. W swoim czasie się przekona. Piekł ją policzek, ale bardziej dokuczały bóle w klatce piersiowej. Poza tym wciąż jej było niedobrze, a kołysanie statku jeszcze wzmagало mdłości. I kręciło jej się w głowie.

- Powiedz coś - odezwał się Anjalan, kiedy znów się położyła.

Spojrzała na niego bezradnie.

- Możesz mnie bić, ale to niczego nie zmieni. Zabrałeś mnie z domu siłą. Oderwałeś od męża i dzieci. Nigdy cię nie pokocham. Naprawdę wierzysz, że skusisz mnie swoim bogactwem?

Patrzył na nią nieporuszony.

- Kiedy dotrzemy na miejsce, zmienisz zdanie. Londyn to niezwykle miasto.

- Skąd wiesz? Nigdy tam nie byłeś.

- To prawda, ale wiele o nim słyszałem.

- Podobno cały czas jest tam mgła.

- Zobaczymy.

- Nie mówmy o tym więcej. Muszę się przespać. Potrzebuję dużo snu. Moje dziecko...

Anjalan zerwał się jak oparzony.

- Dziecko, dziecko! - przedrzeźniał ją zirytowany. - Kłamiesz, Amalie. Aż przykro tego słuchać. Myślałem, że będziesz moją nimfą leśną, ale może się myliłem?

Wpatrzył się w nią przenikliwie.

- Oczywiście, że się myliłeś - podchwyciła Amalie. - Nie jestem żadną nimfą.

Przewrócił oczyma.

- Idę na pokład. Tu nie ma czym oddychać. - Sięgnął do kieszeni po klucz.

Amalie usiadła na koi.

- Pozwól mi wyjść z tobą. Obiecuję, że do nikogo się nie odezwę. Muszę tylko zaczerpnąć powietrza.

Chwycił ją pod brodę i spojrzał na nią poważnie.

- Na pewno zaraz zaczniesz krzyczeć. Przejrzałem cię, nic z tego...

Amalie wybuchnęła płaczem.

- Musisz pozwolić mi wyjść na pokład. Nie wytrzymam tu dłużej! - jęknęła.

Nagle powróciła myślami do swojej rodziny. Jak się czują Ole i dzieci? Boże, jak ona za nimi tęskniła!

Anjalan stał przy drzwiach i wciąż jej się przyglądał.

- Potrzebuję powietrza. Inaczej zwymiotuję... - próbowała go przekonać.

Wziął butelkę gorzałki, upił sporo i znów na nią spojrział.

- Masz milczeć! Powiedziałem, że masz być cicho!

- Nic mnie to już nie obchodzi. Chcę do domu! Płakała i krzyczała, i nie mogła przestać. Wreszcie

Anjalan warknął coś wściekle, dopadł do niej i zakrył jej usta dłonią. Nie miała czym oddychać, znowu zrobiło jej się niedobrze.

- Sama się o to prosiłaś!

Istotnie, była zdana tylko na siebie. Anjalan przytrzymał ją mocno, a po chwili rzucił na łóżko jak kukłę. Domyślała się, co zaraz nastąpi. Właściwie od dawna się tego spodziewała. Bała się o dziecko. Jeśli będzie brutalny, może je stracić.

Nagle rozległo się walenie do drzwi.

- Co to za hałasy? - dobiegł ich męski głos. Anjalan spojrział na nią groźnie, poprawił spodnie i usiadł.

- Zawadziłem o krzesło i się przewróciłem. Już wszystko w porządku! - zawołał.

- Ratunku! Zostałam uwięziona! - krzyknęła Amalie. Postanowiła wykorzystać szansę. A nuż ktoś przyjdzie jej z pomocą?

- Co takiego?

- To moja żona. Boli ją głowa - tłumaczył Anjalan.

- Na pewno wszystko w porządku? Anjalan znów zakrył jej usta dłonią.

- Tak, tak. Wszystko dobrze. Żona jest chora, ale to nic poważnego - odparł z udawanym spokojem.

- Mam nadzieję.

Amalie usłyszała, jak mężczyzna odchodzi. Kiedy kroki ucichły, znów się rozplakała.

Anjalan zabrał rękę z jej ust.

- Jeśli nie przestaniesz wrzeszczeć, nie dam ci więcej jedzenia i potraktuję cię nożem! Moja cierpliwość też ma swoje granice. Tylko piśnij słowo, a zobaczysz! - zagroził.

- Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Proszę - jęknęła i nagle wymiotowała. Czuła się okropnie.

- Znowu grasz, Amalie. Myślisz, że to rozsądne? - Jest mi niedobrze. Rzuciłeś się na mnie...

- To się już nie powtórzy, ale nie wolno ci się ze mną drażnić. Obiecałem sobie, że cię nie tknę, dopóki nie zostaniemy mężem i żoną - oznajmił z uśmiechem.

- Ja już mam męża!

Znów podeszła jej do gardła fala mdłości.

Anjalan otworzył drzwi i nakazał:

- Masz być cicho, bo nie przyniosę ci nic do jedzenia.

Spojrzała na niego i nagle poczuła, że wszystko przewraca się jej w żołądku. Zwymiotowała, a on rzucił ze zdziwieniem:

- Coś takiego. Czyżbyś jednak mówiła prawdę? Pokiwała głową, odwróciła się z trudem na łóżku, przyłożyła rękę do czoła i jęknęła.

- Potrzebuję powietrza!

- Dobrze.

Wstała i przytrzymując się blatu stołu, ruszyła w jego stronę.

- Dziękuję - wyszeptała.

Ledwie trzymała się na nogach, ale mdłości przeszły. Poczowała ulgę.

- Poproszę kogoś, żeby tu posprzątał - mruknął Anjalan i wskazał głową na podłogę. - Chodź, ale pamiętaj: jeśli zaczniesz krzyczeć, wbiję ci nóż w plecy.

- Będę milczeć. Muszę tylko zaczerpnąć powietrza - zapewniła zgodnie z prawdą.

Wiedziała, że gdyby zaczęła krzyczeć na pokładzie, Anjalan nie cofnąłby się przed niczym. Był szalony, nie miałby żadnych oporów, żeby spełnić swoją groźbę.

Poprowadził ją wąskimi stromymi schodami na górę, otworzył drzwi i zobaczyła pokład. Wzięła głęboki oddech i od razu poczuła się nieco lepiej. Wiatr rozwiewał jej włosy, kosmyki wpadały do oczu, ale to jej nie przeszkadzało. Ogarnęła ją nawet lekka radość.

- Podejźmy do burty - odezwał się z tyłu Anjalan. Poczowała na plecach czubek noża, ale postanowiła się tym nie przejmować.

Najważniejsze, że znów była na powietrzu, miała czym oddychać. Powoli podeszła do burty.

Wychyliła się i spojrzała na wodę uderzającą o burtę statku. W świetle księżyca statek nie wydawał się taki duży. Na mostku stał mężczyzna, pewnie kapitan, i kilku marynarzy. Kapitan wyprostowany i czujny, patrzył na morze. Wszędzie panował spokój, słychać było tylko szum fal.

- Dość już tego powietrza - usłyszała za sobą głos Anjalana.

Ale nie zamierzała go posłuchać. Za nic nie chciała wracać do kajuty. Wiedziała, że zaraz znów zrobi jej się niedobrze. Tu, na górze, czuła się trochę lepiej. Przynajmniej mogła swobodnie oddychać.

Morze zdawało się bezkresne. Gdzieś tam daleko był Ole. I jej dzieci. Postanowiła, że pewnego dnia do nich wróci.

Rozdział 6

Hannele siekała warzywa i dzieliła mięso. Dostała je od kobiety z gospodarstwa, którą często odwiedzała. Mąż kobiety był surowy i często na nią krzyczał, ale w domu rządziła ona, a on nie mieszał się do jej spraw.

Martin poszedł do lasu po drewno. Przed zimą trzeba było zgromadzić spory jego zapas, a jeszcze musiało wyschnąć. Hannele czuła się szczęśliwa, chociaż tęskniła za dzieckiem, które wydała na świat. Trzymała je na ręku tylko przez moment, ale zdążyła poczuć ten szczególny zapach niemowlęcia, widziała jego rumiane policzki. Zaraz potem została brutalnie rozdzielona z maleństwem. Ramon okazał się okrutnym człowiekiem. Zaplanował wszystko w najdrobniejszym szczególe, a pomagała mu w tym żona.

To było niepojęte. Hannele wciąż nie mogła uwierzyć, że dała się tak oszukać. Zastanawiała się, kiedy wpadł na ten pomysł i czy od początku miał wobec niej takie plany. Wiedziała jednak, że musi w końcu przestać o tym myśleć, bo inaczej zwariuje.

Skończyła kroić warzywa, wsypała je do kociołka, zalała wodą i powiesiła naczynie nad ogniem. Teraz muszę zająć się mięsem, pomyślała i wyjrzała przez okno.

Zauważyła jakiś cień. Wychyliła się, żeby lepiej widzieć, i zobaczyła, że cień się porusza. Zdjęła fartuch, wyszła na podwórze i zaczęła się rozglądać.

I nagle wyrósł przed nią Posępny Starzec z kijem w ręce. Z wściekłością uderzył nim kilka razy o ziemię. Hannele wzdrygnęła się, wiedziała jednak, że nie może dać się przestraszyć.

- Idź stąd! Nic tu po tobie! - zawołała.

Odwróciła się, żeby wrócić do domu, i wtedy poczuła zimny dotyk na karku. Potem Posępny Starzec chwycił ją za włosy i pociągnął. Stała, a serce mocno waliło jej w piersi.

- Nie odwracaj się do mnie. Uprawiasz nierzęd. Twoje dziecko... - usłyszała.

I nagle wszystko ucichło, uchwyt zelżał. Odwróciła się powoli i spojrzała w dwie dziury w miejscu, gdzie powinny być oczy. Jego zapach przyprawiał ją o mdłości.

- Idź stąd! - nakazała głośno.

Nie bardzo wiedziała, skąd wzięła w sobie tyle siły. Że też w ogóle się odważyła! Ale przecież widziała go już wcześniej. Wtedy była z Tronem, który też poczuł jego siłę.

- Nigdzie nie odejdę. Zostanę tu, aż wróci ci rozsądek.

- Nie chcę cię tutaj!

Znów uderzył wściekle kijem o ziemię. Włosy sterczały mu wokół głowy niczym chmura. Jego twarz stawała się coraz bardziej niewyraźna.

- Będiesz mnie potrzebować. Coś się wydarzy. Ktoś czeka. Ktoś, kto...

Nagle trawa się poruszyła i postać zniknęła, jakby rozplynęła się w powietrzu. Hannele miała wrażenie, że czas na chwilę się zatrzymał, że wszystko było ułudą. A jednak wiedziała, że stał przed nią. Pozostał jego zapach.

Weszła do izby i zamknęła za sobą drzwi. Drżała, było jej niedobrze. Słowa Posępnego Starca ją przeraziły. O czym on mówił? Co takiego ją czekało?

Podeszła szybko do kociołka i zdjęła go z ognia, bo warzywa zaczęły się już gotować. Dodała do nich mięso i ponownie powiesiła naczynie nad ogniem. Straciła jednak apetyt.

Usłyszała znajome gwizdanie i podeszła do okna. Zobaczyła Martina i ucieszyła się, bo przy nim czuła się bezpiecznie.

Martin zaczął wnosić drewno do szopy, a ona usiadła na krześle i czekała, aż skończy. Chciała opowiedzieć mu o Posępnym Starcu, ale nie była pewna, czy on jej uwierzy. Może uzna, że coś jej się przywidziało? Że oszalała? Uznała jednak, że musi to zrobić.

Po chwili Martin wszedł do izby, zdjął czapkę i rzucił ją na stół. Przeczesał palcami włosy i spojrzał na Hannele.

- Co z tobą? Zobaczyłaś ducha? - spytał i się roześmiał.

- A żebyś wiedział! Martin przestał się śmiać.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Nie. Odwiedził mnie Posępny Starzec. Wiem, że to on, bo już raz go widziałam. Miał w ręce kij i uderzał nim o ziemię - wyrzuciła z siebie z nadzieją, że Martin jej uwierzy.

Usiadł na krześle obok niej.

- Co się z tobą dzieje?

- Nic. Zobaczyłam go i... się przestraszyłam. Powiedział mi coś, co mnie przeraziło.

- Nie chcę tego słuchać - odparł i westchnął. - Idę do szopy. Muszę do wieczora ułożyć drewno. A ty nie przejmuj się takimi bzdurami.

Hannele usiadła mu na kolanach, objęła go i pocałowała w policzek. Poczowała na twarzy jego ciepły oddech.

- Kocham cię, Hannele. Jesteś dla mnie wszystkim - zapewnił schrypniętym głosem i dotknął ustami jej warg.

Ich ciała płonęły, całowali się długo i namiętnie. Nagle wzdrygnęli się, bo ktoś zapukał do drzwi. Martin uniósł brwi.

- Boże drogi, jakiś gość?

- Możliwe - przyznała Hannele.

Nie była jednak pewna, czy to ktoś z krwi i kości, czy może powrócił Posepny Starzec i uderzał kijem o drzwi.

Pukanie nie ustawało. Martin wstał, zerknął niepewnie na Hannele, wyprostował się, szarpnął drzwi i otworzył je na oścież.

- Nikogo nie ma - stwierdził zdziwiony.

- To Posepny Starzec. Wrócił tu, żeby mnie dręczyć. Bo żyjemy w grzechu - odparła Hannele.

- Żyjemy w grzechu? I co z tego? Mieszkamy w głębi lasu, nikt nie wie, że nie mamy ślubu.

- On to wie. Boję się, Martinie. Będzie nas prześladował, nie da nam spokoju.

Zagryzła wargę i zobaczyła przed sobą postać Posepnego Starca.

- Nie bój się. Ktoś sobie z nas po prostu zadrwił - rzucił Martin uspokajająco.

Zamknął drzwi i po chwili Hannele znów usiadła mu na kolanach. Nagle w izbie zrobiło się lodowato. Było tak zimno, że para leciała im z ust. Hannele przywarła do Martina, drżąc z zimna i ze strachu.

- Czujesz ten chłód?

- Rzeczywiście, okropny ziąb - wyszeptał.

- Chodźmy spać - zaproponowała.

Wstała z jego kolan, podeszła do paleniska, zdjęła kociołek znad ognia i odstawiła go na ławę. Martin stanął obok niej.

- Nie mogę się jeszcze położyć. Jestem głodny, a poza tym muszę znieść drewno do szopy.

- Nie wychodź teraz na zewnątrz. Tam jest niebezpiecznie - zaprotestowała, szcękając zębami z zimna.

- Muszę. Zresztą ja się nie boję. Najpierw jednak muszę coś zjeść.

Wzięła miskę i naląła do niej rosółu z mięsem i warzywami. Podała mu ją i powiedziała:

- Jedz, a ja się położę. Strasznie tu zimno, poza tym nie jestem głodna.

Martin odstawił miskę.

- Jeśli chcesz, rozpalę w piecu - zaproponował.

- Możesz rozpalić, ale to i tak nic nie da. Tu jest duch, wiem to. Czuję jego zapach i słyszę jego śmiech. Jest przerażający.

- Naprawdę czujesz, że jest tu teraz z nami w izbie? - spytał Martin i poczerwieniał.

- Tak, jestem o tym przekonana.

Martin przewrócił oczami i zaczął jeść. Hannele zostawiła go samego i poszła do alkowy. Położyła się na łóżku, przykryła kocem i wpatrzyła w słoje na drewnianym suficie. Nadal było jej zimno, jakby chłód wdzierał się pod skórę.

Nagle usłyszała jakiś hałas w kuchni i zaraz potem krzyk Martina.

- Co się stało?! - zawołała.

Zerwała się z łóżka, ale zawadziła stopą o koc, potknęła się i upadła. Szybko podniosła się i wbiegła do kuchni. Krzesło było przewrócone, na podłodze leżała rozbita miska. Martin zniknął!

Hannele wybiegła na podwórze.

- Martin! Gdzie jesteś? - krzyknęła. Rozejrzała się, spojrzała w stronę drewnutni, ale

Martina nigdzie nie było.

Popatrzyła na ziemię i rozwarła oczy ze zdumienia. Zobaczyła ślady stóp, a właściwie wielkich łap. Czyżby przeszedł tędy wilk?

Wbiegła do stajni, wyprowadziła Promyka i wskoczyła na jego grzbiet. Po chwili jechała już ścieżką do lasu. Pomyślała, że jeśli Martina coś przestraszyło, to

pewnie pobiegł właśnie tam.

Zmusiła konia do galopa Czy to Posępny Starzec wystraszył Martina? Bo jeśli nie on, to któżby inny? Nic z tego nie rozumiała. Wszystko stało się tak szybko.

- Martin! - wołała.

Nikt jej nie odpowiadał, w lesie panowała cisza. Złowroga cisza. Ptaki nie śpiewały, liście nie szeleściły. Nagle słońce schowało się za chmury i zrobiło się ciemno. Hannele pognęła konia. Jechała pochyłona nad jego grzbietem, gałązki drzew wplątywały się jej we włosy, ale nie zwracała na to uwagi; najważniejsze, żeby odnalazł się Martin.

Dotarła na szczyt wzgórza i zatrzymała konia. Zerknęła w dół. Las był tak gęsty, że wyglądał jak martwy. Wzdrygnęła się. Nie miała ochoty jechać dalej, ale postanowiła się nie poddawać. Musiała znaleźć Martina!

Przejechała jeszcze kawałek i nagle poczuła się bardzo zmęczona. Martina nigdzie nie było. Pomyślała, że może wrócił do chaty. Albo poszedł nad jezioro? Że też wcześniej na to nie wpadła!

Zawróciła konia. W pewnym momencie wydało jej się, że ktoś za nią jedzie. Odwróciła się i spojrzała na las, ale nikogo nie dostrzegła.

Wkrótce dotarła do chaty. Wokół było pusto i cicho. Martin nie wrócił. Czują to.

- Może jest nad jeziorem - powiedziała głośno sama do siebie.

Pojechała nad wodę i rozejrzała się, ale i tu go nie było.

Rozpłakała się z lęku i zmartwienia. Coś musiało się wydarzyć. Coś naprawdę poważnego. Może duch zabrał go ze sobą? Nie, to niemożliwe. Wiedziała, że musi zachować rozsądek. Prawdopodobnie Martin ze strachu gdzieś się schował.

- Jesteś tam, Martin?! - krzyknęła.

Żadnej odpowiedzi. Zawołała jeszcze raz, ale też na próżno. Odpowiedziała jej cisza. Nagle znów wyszło słońce, chmury powędrowały dalej i zrobiło się ciepło. Zerknęła jeszcze raz na jezioro. Odniosła wrażenie, jakby powierzchnia wody lekko się zmarszczyła.

Zsiadła z konia i podeszła do brzegu. Znienacka na jeziorze pojawiły się fale i zaczęły obmywać piasek i jej stopy.

Hannele odwróciła się i natychmiast cofnęła; stała teraz w wodzie do połowy łydki.

I wtedy znów pojawił się przed nią Posępny Starzec. Uderzył kijem w ziemię i wskazał jej coś.

- Wejdz do wody. On tam czeka. Czeka...

I zniknął. Rozpłynął się w powietrzu jak we mgle. Został tylko jego zapach, czuła go wyraźnie.

Wyszła na suchy ląd. Czyżby Martin był tam, w jeziorze? Czy mógł się utopić? Nie, to mało prawdopodobne. Ale w takim razie co się z nim stało? Siedziała długo na brzegu i zastanawiała się, co powinna zrobić. Nie wiedziała.

Zmęczona i bezradna wróciła do chaty. Puściła Promyka wolno i weszła do domu. Chciała się położyć.

Drgnęła, kiedy usłyszała głosy. Ktoś rozmawiał. Kto to mógł być? Otworzyła drzwi i zobaczyła, że na łóżku siedzą jej rodzice i uśmiechają się do niej.

Rozdział 7

Elise leżała na łóżku i płakała. Torstein nie odzywał się do niej, ale na szczęście nie wyrzucił jej z domu. Została tu jako służąca. Gotowała, myła podłogi, prała ubrania.

Iver przyglądał jej się zawsze, kiedy tylko nadarzyła się ku temu okazja. Bała się go, a Torstein zdawał się nie zwracać uwagi na jego zachowanie. Pewnie uważał, że sama jest sobie winna.

Z kuchni dobiegły ją podniesione głosy braci. Nie słyszała ich dokładnie, ale Torstein był wyraźnie zły. Czyżby się pokłócili?

Rozległy się kroki, więc szybko otarła łzy i naciągnęła kołdrę na głowę. Nie czuła się na siłach wysłuchiwać wyrzutów Torsteina. Wiedziała, że jest zawiedziony, że uważa ją za nierządnicę.

- Dlaczego się chowasz? - spytał.

- Bo mnie nienawidzisz - odpowiedziała spod kołdry.

Zdjął z niej nakrycie. Otworzyła oczy i zobaczyła, że stoi nad nią ze zmarszczonym czołem.

- To nieprawda, że cię nienawidzę, tylko przeżyłem wstrząs. Nie mogę uwierzyć, że robiłaś takie rzeczy.

- Robiłam, bo musiałam. Inaczej umarłabym z głodu - starała się bronić.

- Mogłaś zebrać, a jeszcze lepiej postarać się o jakąś pracę - rzucił głucho.

Elise nie potrafiła odgadnąć, co Torstein czuje i myśli.

- Sądzisz, że to takie proste? W mieście? Byłeś tam kiedyś?

Pokręcił głową.

- Nie, nigdy nie miałem takiej potrzeby.

- No widzisz. Nie masz pojęcia, jak tam jest - po - wiedziała łamiącym się głosem.

- Racja, nie mam... Poza tym to bez znaczenia. Nadal cię Kocham i przepraszam za swoje zachowanie.

Podniosła głowę i spojrzała na niego zdziwiona. Mówił to poważnie? Rzuciła mu się na szyję. Tuliła się do jego silnego ciała, rozkoszując się każdą chwilą.

- Tak się cieszę, że... - zaczęła i nagle urwała, bo zobaczyła w drzwiach Ivera. - Twój brat nas obserwuje - wyszeptała mu do ucha.

Torstein natychmiast odsunął ją od siebie, odwrócił się i spojrzał na brata. Iver stał w drzwiach i patrzył na nich. Był czerwony na twarzy, a jego oczy ciskały gromy.

- Idź do kuchni. Chcę porozmawiać z Elise w cztery oczy! - nakazał Torstein.

- Nigdzie nie pójdę. To dziwka - warknął Iver.

- Posłuchaj mnie: nie chcę, żebyś tu stał, a Elise nie jest dziwką. Jest porządną dziewczyną i kocham ją.

Iver parsknął i spojrzał na niego z pogardą. - Jesteś głupi!

- Skoro tak uważasz, to trudno. Elise jest moja. Rozumiesz?

Torstein zaczynał mieć dość brata.

- Nie jest twoja, tylko moja - zaprotestował Iver i zagniewany wszedł do izby. Torstein popatrzył na niego surowo.

- Idź stąd! Czy może chcesz, żebym cię wyrzucił?

- Nie - mruknął Iver.

- Więc wyjdź sam.

- Nie.

Torstein wstał i podszedł do niego.

- Chcę porozmawiać z Elise. Zostaw nas samych.

- Nie. Muszę przy tym być.

- Pójdiesz ze mną, no już!

Chwycił brata za rękę i pociągnął go za sobą do kuchni. Elise słyszała ich podniesione głosy, a potem trzaśnięcie drzwiami.

Po chwili Torstein wrócił do pokoju i westchnął głośno.

- Przestaję go rozumieć. Bardzo się ostatnio zmienił. Zrobił się uparty - stwierdził i usiadł na łóżku obok Elise.

- Nie wiem, co się z nim dzieje, ale boję się go, Torstein. Kiedy na mnie patrzy, w jego oczach widzę nienawiść.

- Też to zauważyłem i mnie także to niepokoi. Jest inny niż my, taki się urodził, ale nie wiem, skąd u niego te nagłe ataki złości. Miejmy nadzieję, że to przejściowe.

- Tak - przyznała Elise bez przekonania. Chciałaby, żeby Torstein miał rację, inaczej mieszkanie pod wspólnym dachem stanie się nie do wytrzymania.

Torstein objął ją ramieniem i pocałował. Przeszedł ją dreszcz. Spojrzała mu przez ramię i zobaczyła w oknie twarz Ivera.

- Znow się na nas patrzy - szepnęła przerażona.

Torstein szybko odsunął się od niej. Postanowił, że poczekają z pieszczołami do wieczora, a tymczasem pójdzie z bratem do lasu narąbać drewno. Elise położyła się na łóżku i westchnęła. Iver ich zadręczał. Łudziła się, że może wyjedzie i da w ten sposób szansę ich miłości. Bo kiedy był w domu, nie zostawiał ich samych nawet na moment. Wiedziała, że powinna być cierpliwa. Cieszyła się, że Torstein jej wybaczył, i wierzyła, że wszystko się ułoży. Iver zajmie się swoimi sprawami i przestanie ich nękać. Zapomni o niej.

Wstała z łóżka i wyszła na podwórze. Promienie słońca grzały ją w głowę. Zbliżał się wrzesień, ale dni wciąż jeszcze były długie i ciepłe.

Postanowiła skorzystać z tego, że jest sama, i wziąć kąpiel. W piecu w pralni palił się ogień, a nad paleniskiem wisiał kociołek. Wlała gorącą wodę do niewielkiej balii, przyniosła więcej wody ze studni i ponownie napełniła kociołek. Wkrótce kąpiel była gotowa. Zdjęła sukienkę i zanurzyła się w gorącej wodzie. Oparła głowę o krawędź balii i zaczęła się myć.

Odprężona, pomyślała o Hakonie. Zastanawiała się, czy się ożenił, czy jest szczęśliwy. Potem wspomniała rodziców Stiny i jej brata, Clausa. Jak im się wiodło? Czy Claus znalazł sobie narzeczoną? Była im dozgonnie wdzięczna za to, że jej nie wydali i nie oskarżyli o oszustwo. Często o tym myślała. Mogła przecież trafić do więzienia. Miała szczęście.

Nagle drzwi do pralni się otworzyły i zobaczyła Ivera. Stał i patrzył na nią pożądliwie. Szybko zakryła piersi dłońmi, ale on nachylił się i podciągnął ją do góry. Woda chlusnęła na niego.

- Co ty tu robisz? Puść mnie! - krzyknęła Elise.

- Torstein jest w lesie. Wróciłem tu po siekiere, ale zastałem ciebie. Jesteś naga...

- Natychmiast mnie puść! - zażądała ponownie. Próbowwała oswobodzić się z jego uchwytu, ale Iver był silny. Zastanawiała się gorączkowo, co ma zrobić. Wiedziała, że jeśli go nie powstrzyma, to weźmie ją siłą. Nagle jej wzrok padł na siekiere. Leżała na ławie, tuż obok. Iver pochylił się, żeby ją pocałować, a wtedy ona błyskawicznym ruchem sięgnęła po siekiere i zamachnęła się z całej siły. Iver, wpatrzony w jej nagie ciało, nie zdążył odskoczyć. Krew zalała wszystko i upadł. Siekiera sterczała mu z głowy. Elise patrzyła na niego

przerażona. Z głębokiej rany spływała krew. Szybko nasiąkła nią koszula, a na podłodze utworzyła się kałuża.

Ukucnęła obok niego i dotknęła dwoma palcami jego szyi, żeby wyczuć puls. Boże drogi, co ona zrobiła!?

- Nie żyje, zabiłam go! - powiedziała głośno.

Wstała i poczuła, że drży. Była tak przerażona, że zrobiło jej się niedobrze. Już sam widok krwi przyprawiał ją o mdłości.

Co miała teraz zrobić? Rozejrzała się dookoła. Jej wzrok padł na zakrwawioną siekierę. Wyjęła ją z głowy Ivera i umyła w wiadrze. Znalazła szmatę, wytarła ostrze i odłożyła narzędzie zbrodni na ławę.

Kręciło jej się w głowie, nie była w stanie jasno myśleć. Podniosła sukienkę, ubrała się i podbiegła do okna. Cały czas zastanawiała się, co powinna zrobić. Iver nie żył. Torstein pewnie wkrótce zacznie go szukać i wtedy przyjdzie tutaj.

Musiała działać szybko. Jeśli Torstein odkryje, że zabiła jego brata, nie wybaczy jej tego. Wybiegła na podwórze, znalazła łopatę, położyła ją na schodach i wróciła do pralni. Chwyciła Ivera pod rękę i zaczęła go ciągnąć. Był ciężki, ale strach dodawał jej sił. W końcu udało jej się wyciągnąć go na podwórze.

Spojrzała na schody i zobaczyła, że są zakrwawione. Będzie musiała je umyć, zanim Torstein się zjawi.

Przeciągnęła Ivera za dom, ułożyła go na ziemi i wróciła po łopatę. Zaczęła kopać. Na szczęście ziemia w tym miejscu nie była zbita. Serce biło jej mocno, dygotała z przejęcia.

Iver był potężnym mężczyzną, musiała więc wykopać duży dół. Żeby tylko Torstein nie pojawił się za wcześnie!

Kopała już dobre pół godziny. Pot spływał jej po twarzy, ręce się trzęsły, bolały ją wszystkie mięśnie, ale wiedziała, że stawką jest jej życie. Nikt nie uwierzy, że zabiła Ivera w obronie własnej. Nikt.

Od strony lasu rozległo się gwizdanie Torsteina. Pobiegnęła do komórki, chwyciła wiadro z wodą i wylała ją na schody. Na szczęście krew spłynęła i nie było już nic widać. Nadszedł Torstein i uśmiechnął się do niej.

- Co ty robisz? - spytał.

- Myję schody - odparła.

Spróbowała też się uśmiechnąć, ale tylko się wykrzywiła.

- Jesteś bardzo pracowita. Nie widziałaś może Ivera? Wrócił po siekierę.

- Wpadł tu na chwilę, ale już poszedł. Torstein uniósł brwi ze zdziwienia.

- Nie spotkałem go po drodze.

- Pewnie się minęliście. Nie zauważyłam jednak, żeby wziął ze sobą siekierę. Niósł łopatę.

- Naprawdę? To do niego podobne. Nigdy nie słucha tego, co do niego mówię.

- Wiem - przytaknęła.

Modliła się w duchu, żeby Torstein jak najszybciej odszedł. Serce podchodziło jej do gardła, miała mdłości, bała się, że za chwilę zemdleje.

- Pójdę po siekierę - powiedział Torstein.

Boże, tylko nie to, pomyślała. W pralni na podłodze była krew! Nie może pozwolić, żeby Torstein to zobaczył. Zrobiła krok do przodu i położyła mu rękę na karku.

- Najpierw mnie pocałuj! - poprosiła. Uśmiechnął się i odparł:

- Nie mam czasu na przyjemności. Robota czeka. Musimy wstrzymać się z tym do wieczora.

Pocałował ją szybko w policzek, wyminął i ruszył w stronę pralni. Zatrzymała go.

- Zaraz ci ją przyniosę. Zaczekaj chwilę!

Zanim zdążył odpowiedzieć, pobiegła do pralni. i wróciła z siekierą. Podała mu ją z wymuszonym uśmiechem.

- Proszę.

Torstein spojrzał na nią zaniepokojony.

- Coś się stało? Jesteś taka roztrzęsiona.

- Nie, wszystko w porządku. Pomyślałam tylko, że trochę tu posprzątam, kiedy ty jesteś w lesie - odparła.

- Dobrze. Zobaczymy się wieczorem.

- Kiedy wrócisz?

- Robota zajmie nam pewnie kilka godzin. Zdązysz przygotować coś do jedzenia.

- Oczywiście.

Odszedł i wkrótce zniknął w lesie. Patrzyła za nim chwilę, a potem znów zaczęła kopać. Musiała się pośpieszyć, bo wiedziała, że jeśli Torstein nie zastanie Ivera w lesie, wróci do domu.

Po jakimś czasie uznała, że dół jest dostatecznie duży i głęboki. Odłożyła łopatę, chwyciła ciało i pociągnęła za sobą. Wrzuciła je do dołu i odetchnęła z ulgą: zmieściło się w prowizorycznym grobie. Znów chwyciła łopatę i zaczęła zasypywać dół. Słaniała się na nogach ze zmęczenia, ale nie mogła sobie pozwolić na odpoczynek. Musiała ukryć ciało tak, żeby nikt nigdy go nie znalazł.

W końcu udało jej się zasypać dół. Na wierzchu porozrzuciła kępki trawy i przydeptała je nogą. Torstein nie może zauważyć, że ktoś tu kopał. Dla pewności postanowiła dorzucić jeszcze parę kamieni. Rozejrzała się i znalazła kilka takich, które mogła unieść. Przykryła nimi ziemię i popatrzyła zadowolona.

Odłożyła łopatę na miejsce, poszła do pralni, wzięła szmaty i zabrała się do mycia podłogi. I wtedy znów dotarło do niej, co zrobiła. Była morderczynią! Uderzyła Ivera siekierą w głowę, a potem zakopała. Zaczęła szlochać. Nie wiedziała, że jest w stanie zabić człowieka. Ale czy miała wyjście? Iver na pewno by ją zgwałcił, a być może i zabił. Przypomniła sobie jego lodowate, pełne nienawiści oczy, i wzdrygnęła się na ich wspomnienie.

Nagle poczuła, że opuszczają ją siły. Spojrzała na wiadro wody i uznała, że nie zdoła go udźwignąć. Postanowiła, że jutro się tym zajmie. Teraz musiała przygotować kolację dla Torsteina, który mógł w każdej chwili wrócić. Pewnie zacznie ją wypytywać, w którym kierunku poszedł Iver, i pobiegnie go szukać. A jak go nie znajdzie, będzie zrozpaczony, bo to przecież jego brat. Na pewno zawiadomi lensmana, a ten wezwie ludzi i zaczną się poszukiwania. Czekają ją wiele trudnych i przykrych dni. Ale co się stało, to się nie odstanie. Nie miała wyboru, nie mogła postąpić inaczej.

Zobaczyła wybiegającego z lasu Torsteina i wstrzymała oddech.

Rozdział 8

Amalie wróciła do kajuty. Bolały ją plecy i klatka piersiowa. Dziwiła się, że ból nie przechodzi. Anjalan został na pokładzie, ale ona czuła się tak zmęczona, że nie miała siły krzyżeć.

Próbowała zaczepić o coś wzrok, żeby znów nie zwymiotować. Po powrocie z pokładu okazało się, że nikt nie sprzątnął kajuty, musiała więc zrobić to sama. Wtedy znowu zrobiło jej się niedobrze, ale tym razem zdołała opanować mdłości. Wzburzone morze stawało się coraz bardziej niespokojne, statek kołysał się i trzeszczał.

Nagle z korytarza dobiegł ją odgłos kroków. Podbiegła do drzwi i zaczęła uderzać w nie pięściami.

- Ratunku! Pomocy! - wołała słabym głosem.
- Halo! - odezwał się męski głos.
- Potrzebuję pomocy! Zostałam uwięziona!
- Nie mogę pani pomóc. Mąż mówił, że jest pani chora. Podobno to coś zaraźliwego. Powinna się pani położyć.

Amalie zamarła. Najwyraźniej był to ten sam mężczyzna, który już wcześniej przechodził obok ich drzwi i zareagował na jej wołanie o pomoc. Anjalan musiał z nim potem jeszcze rozmawiać. Okłamał go, a to oznaczało, że nie ma już dla niej ratunku. Była w drodze do obcego kraju, gdzie zostanie zmuszona do poślubienia Fina. Na samą myśl o tym czuła obrzydzenie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć mężczyźnie za drzwiami, usłyszała, jak jego kroki się oddalają. Nie miała już na co liczyć. Usiadła na twardej koi i rozejrzała się po niewielkiej kajucie, która przypominała więzienną celę.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Anjalan. Chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą.

- Pójdiesz ze mną! - warknął.
- Dlaczego?
- Zbliża się sztorm. Wszyscy pasażerowie mają się zebrać na pokładzie. Pamiętaj, że nie wolno ci krzyżeć ani się skarżyć. Nie próbuj żadnych sztuczek.

- Tak, wiem - zapewniła.

Bała się sztormu. A jeśli statek zatonie?

Wyszli na korytarz, Amalie pierwsza, Anjalan tuż za nią. Na pokładzie było już dużo ludzi. Kapitan stał na mostku i mówił:

- Proszę, aby wszyscy podróżni zebrali się w mesie. Tam przeczekacie sztorm. Nikt nie może zostać na dole w kajucie. Nie wiem, co nas czeka - dodał. - W razie potrzeby spuścimy szalupy ratunkowe. Starczy miejsca dla wszystkich. Proszę zachować spokój.

Amalie usłyszała, jak za jej plecami Anjalan rzucił przekleństwo. Była zadowolona, że nie musi wracać do kajuty. Znow przebywała wśród ludzi i nabrała nadziei, że może uda jej się z kimś porozmawiać.

- Niech wszyscy idą do mesy. Potem przekażę dalsze informacje - nakazał kapitan.

- Chodź - zwrócił się do niej Anjalan. - I pamiętaj, co ci mówiłem. Nie wolno ci z nikim rozmawiać! — Nie będę się do nikogo odzywać - obiecała.

W duchu jednak pomyślała, że jeśli tylko nadarzy się okazja, na pewno to zrobi. Tu, wśród ludzi, nie bała się jego gróźb. Musiała jednak zebrać siły. Nie wiedziała, co ją czeka. Była pewna jedynie tego, że chce wrócić do domu, do Olego i dzieci. Tak bardzo za nimi tęskniła!

Podróżni zbierali się w jadalni. Anjalan pchnął ją w plecy.

- Idź za nimi! Nie zwracaj na siebie uwagi - mruknął. - Dobrze - zapewniła i podążyła za innymi pasażerami.

Po chwili dotarli do niewielkiej salki. Wzdłuż ścian stały stoły, na których leżały resztki jedzenia, z sufitu zwisały pajęczyny. Widok był tak ponury, że Amalie zaczęła się zastanawiać, jak wygląda reszta statku.

Anjalan zaprowadził ją do stolika nieco na uboczu i usiadł obok niej.

- Pamiętaj, co ci mówiłem. Nie odzywaj się do nikogo. Mam już dosyć twojego marudzenia. Jak będzie trzeba, nie zawaham się sięgnąć po nóż. Nie zapominaj o tym - warknął cicho.

Amalie widziała groźbę w jego oczach, więc posłusznie skinęła głową.

Ludzie stali w małych grupkach, jakiś marynarz uciszył chłopców, którzy biegali między stołami.

Uwagę Amalie zwróciła kobieta, która krążyła niespokojnie po mesie i rozglądała się zdenerwowana. Zresztą wszyscy byli przerażeni. Zbliżał się przecież sztorm.

Anjalan nachylił się do niej i zmarszczył czoło. - Nie wiedziałem, że tylu ludzi płynie tym statkiem.

- Rzeczywiście, dużo - potwierdziła cicho.

- Żeby tylko wszystko się dobrze skończyło. Nie bardzo wierzę w ten sztorm. Kapitan nie wygląda na doświadczonego. Powinienem być wybrać jakiś większy statek i popłynąć do Ameryki.

- Naprawdę byłoby cię na to stać? Jesteś aż tak bogaty? - odważyła się spytać.

Anjalan zamarł.

- Gdyby nie ci wszyscy ludzie, dałbym ci nauczkę! - wysyczał.

- Jestem o tym przekonana. Kto jak kto, ale ty wiesz, jak traktować kobiety - rzuciła drwiąco.

Zwątpiła w jego bogactwo. Złękła się, że kiedy przyjdzie co do czego, wylądują na ulicy, w deszczu i chłodzie.

Do ich stolika podszedł starszy mężczyzna.

- Mogę się przysiąc? - spytał grzecznie, spoglądając to na Amalie, to na Anjalana.

- Tak, oczywiście - zgodził się Anjalan. Mężczyzna uśmiechnął się i usiadł obok Amalie.

Sprawiał miłe wrażenie.

- To straszne. Leżałem w kajucie i czytałem książkę, kiedy zawiadomiono mnie, żeby trzeba wyjść na pokład. Bardzo dużo tu ludzi. Statek jest chyba przeładowany.

Spojrzał na Amalie, a ona skuliła się pod jego wzrokiem. Wiedziała, że wygląda okropnie.

- Coś pani dolega? - zaniepokoił się.

Uniosła głowę i też zaczęła mu się przyglądać. Miał ciepłe przyjazne oczy i pomarszczoną twarz. Był otyły i zdecydowanie już niemłody, pewnie koło sześćdziesiątki.

- Spodziewam się dziecka i źle się czuję - wyjaśniła. Anjalan natychmiast zrobił się czujny.

- Badał panią lekarz? - zainteresował się mężczyzna. Pokręciła głową.

- Nie było takiej konieczności. Nieznajomy popatrzył z wyrzutem na Anjalana.

- Powinien pan bardziej dbać o żonę. Jest wyczerpana, wygląda na chorą. Nie powinien pan...

Zamilkł, kiedy Anjalan uniósł rękę.

- Niech pan się nie miesza w nasze sprawy. Proszę opuścić nasz stolik.

- Oczywiście, zaraz odejdę. Powiedziałem tylko to, co myślę.

Wstał, skłonił się Amalie i podszedł do grupki starszych kobiet, które rozmawiały zdenerwowane, żywo gestykułując.

- Dobrze, że mu się nie wygadałaś - pochwalił Anjalan.

Statkiem znów zaczęło mocno kołysać. Ludzie krzyczeli przerażeni, Amalie złapała się blatu stołu.

- Niech to szlag! Zejdźmy do kajuty. Tam będziemy przynajmniej mieli spokój - zaproponował Anjalan.

Amalie zobaczyła strach w jego oczach i zdziwiła się, że taki chojrak się boi.

- Ja nigdzie nie idę. Zostaję tutaj.

- Nie pozwolę ci na to. Choćbym miał cię zmusić. Amalie się zaniepokoiła. Wiedziała, że posunęła się za daleko, ale wśród ludzi czuła się pewniej.

Statek znów przechylił się niebezpiecznie. Anjalan zaklął, Amalie zaś próbowała skupić na czymś wzrok, bo zaczęło jej się kręcić w głowie. Anjalan był biały jak kreda.

- Źle się czuję! - jęknął.

- Powinieneś wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza - poradziła.

- Myślisz, że jestem aż tak głupi? - odparł ze złością. - Poza tym drzwi są zamknięte, nikomu nie wolno wychodzić na pokład. Tam jest jeszcze niebezpieczniej.

- To co zrobisz? Zwymiotujesz tutaj?

- Dość tego. Milcz!

Nagle Amalie poczuła, że już się nie boi. Postanowiła, że nie pozwoli, aby ją złamał. Był załosny. Wiedziała, że jest w Stanie zabić, ale tu, wśród ludzi, nie wydawał się taki groźny. Poza tym ostatnio trzymał się z daleka od gorzałki.

Teraz był bardzo blady i wyraźnie walczył z mdłościami.

Amalie też nie czuła się dobrze, ale starała się poddać kołysaniu fal. To trochę pomagało.

- Jak długo będziemy musieli tu zostać? - jęknął znowu Anjalan.

- Nie byłoby lepiej, gdyby ludzie zostali w kajutach? - zastanawiała się głośno Amalie.

- Być może, ale gdyby coś się stało, to tu jesteśmy bezpieczniejsi. Jakby wybuchła panika, trudno byłoby się stamtąd wydostać. Wszyscy by się potopili - tłumaczył Anjalan.

- Pewnie masz rację - przyznała Amalie. - Jestem zmęczony. Porozmawiam z kapitanem, czy na górze nie ma jakiejś wolnej kajuty - powiedział i ziewnął. Ledwie się trzymał na nogach.

- To dobry pomysł - potwierdziła Amalie. - Idź, spytaj go.

Za wszelką cenę chciała, żeby Anjalan zostawił ją na chwilę samą. Wokół niej byli ludzie. Starszy mężczyzna, który wcześniej siedział przy ich stoliku, rozmawiał teraz z jakąś kobietą, ale od czasu do czasu zerkał na nią. Może zgodzi się jej pomóc? Jeśli Anjalan pójdzie do kapitana, będzie mogła podejść do nich i opowiedzieć im o swojej sytuacji.

Anjalan wstał.

- Zostań tutaj - rzucił. - Ale jeśli się dowiem, że z kimś rozmawiałaś, wyciągnę cię na pokład i wrzucę do morza! I dobrze wiesz, że nie są to puste groźby.

- Wiem.

Zniknął za drzwiami, a ona uznała, że nie ma chwili do stracenia. Wstała i szybko podeszła do starszego mężczyzny.

- Mogę zamienić z panem kilka słów?

- Oczywiście. To coś ważnego? Skinęła głową.

- Jestem tu więziona - wyszeptała. Serce waliło jej młotem. - Ten mężczyzna porwał mnie z domu w Fińskim Lesie. Proszę mi pomóc.

Mężczyzna otworzył szeroko oczy.

- Co pani mówi?!

- Chcę wrócić do rodziny. Mam męża i dzieci, które na mnie czekają.

Przełknęła głośno ślinę; bała się, że nieznajomy jej nie uwierzy.

- Dlaczego nie próbowała pani...

- Przez cały czas byłam zamknięta w kajucie.

- Rozumiem. Zawiadomię kapitana.

- Proszę chwilę poczekać. Teraz jest u niego Anjalan, ten mężczyzna, który mnie porwał i uwięził. To szalony i bardzo niebezpieczny człowiek.

Nieznajomy położył dłoń na jej ręce.

- Proszę wrócić na miejsce. Zobaczą, co się da zrobić - obiecał uprzejmie.

- Dziękuję. Cieszę się, że pan mi uwierzył. Ledwie wróciła do stolika i zdążyła usiąść, zjawił się Anjalan.

- Możemy zejść do kajuty, ale na własną odpowiedzialność - oznajmił.

- Nie chcę tam schodzić - odparła i zerknęła w stronę starszego mężczyzny, który wstał i wyszedł z mesy.

- Masz ze mną iść! - wycedził przez zęby Anjalan.

- Nie chcę!

- Musisz! - nie dawał za wygraną.

Amalie wiedziała, że na dole w kajucie szanse na jakąkolwiek pomoc będą znacznie mniejsze.

Anjalan chwycił ją za rękę tak mocno, że jęknęła. I zarazem poczuła ostrze noża na swoim brzuchu. Rozejrzała się, ale nikt niczego nie zauważył. Ludzie byli zajęci rozmowami, niektórzy próbowali drzemać na krzesłach. Mogła krzyknąć i zwrócić na siebie ich uwagę, ale Anjalan cały czas dotykał czubkiem noża jej brzucha. Poczwała, że się poci. Nie śmiała mu się przeciwstawić.

- Dobrze, pójdę z tobą - zgodziła się. Bała się, nogi miała jak z waty.

- Dobrze. Idź powoli, nie śpiesz się. Musimy wyjść na korytarz, który prowadzi na dół do kajut.

Ruszyła przed siebie chwiejnym krokiem, bo morze było bardzo niespokojne. Nagle statek się przechylił, Anjalan wypuścił nóż z ręki, a sam upadł i potoczył się gdzieś pod półki.

Amalie pobiegła wąskim korytarzem i zaczęła krzyczeć. Po chwili usłyszała za sobą kroki Anjalana. Dopadła drzwi, nacisnęła klamkę i wypadła na pokład. Łapczywie zaczerpnęła powietrza. Przed nią było wzburzone morze i fale wysokie jak kamienice.

Nagle poczuła, że ktoś ją wciąga z powrotem na korytarz. Odwróciła się i zobaczyła Anjalana.

- Co ty wyprawiasz?! Życie ci niemiłe? - warknął. - Nie chcę być tu z tobą. Chcę wrócić do domu.

Do mężczyzny, którego kocham!

Uniósł rękę i uderzył ją w policzek.

- Uważaj, co mówisz, Amalie. W każdej chwili mogę cię wrzucić do morza.

Przez chwilę stał i przyglądał się jej bezradnie.

- Zejdźmy na dół, zanim coś ci się stanie - zagroził. Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. A ona nie miała siły, żeby z nim walczyć. Próbowwała krzyczeć, ale nikt jej nie słyszał. Wszyscy byli zajęci swoimi problemami. Nagle pomyślała o starszym mężczyźnie, który obiecał jej pomoc. Miała nadzieję, że poszedł zawiadomić kapitana i że dzięki niemu zdoła odzyskać wolność

Rozdział 9

Ole podał Indze rękę i pomógł jej wyjść z kałuży. Szalona zabawa dziewczynek źle się skończyła. Inga była przemoczona do suchej nitki, a Kajsa miała błoto we włosach i brudną buzię. Widać było jedynie jej błyszczące oczy, takie same jak oczy Amalie.

Olemu bardzo brakowało żony. Nie miał pojęcia, co się jej przydarzyło, i tęsknota za nią rozrywała mu serce.

- Idźcie do Maren i się przebierzcie. Ale najpierw musicie się umyć. W życiu nie widziałem tak brudnych dziewczynek.

Inga spuściła wzrok zawstydzona.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

Natomiast Kajsa nie tylko nie okazała żadnej skruchy, ale od razu skierowała się w stronę stodoły. W ostatnim momencie Ole chwycił ją za rękę i zatrzymał.

- Masz mnie słuchać! Idź razem z Ingą do Maren - nakazał surowo.

- Ale ja chcę się bawić! - protestowała Kajsa.

- Albo będziesz mnie słuchać, albo od razu pójdziesz do łóżka.

- Dobrze, tatusiu, już będę posłuszna - obiecała dziewczynka.

Ole puścił ją, a wtedy mała natychmiast zaczęła uciekać.

Poczuł, jak narasta w nim irytacja. Kajsa była niesforna, a jego cierpliwość miała swoje granice.

Inga natomiast posłusznie ruszyła do domu. Na szczęście, pomyślał Ole.

Westchnął i ukucnął przed stodołą.

- Kajsa, natychmiast chodź tu! - zawołał.

- Nie! - odparła córeczka.

- Albo przyjdiesz tu sama, albo zaraz po ciebie pójde!

Zapadła cisza, a po chwili dziewczynka wróciła ze spuszczonego wzrokiem.

- Przepraszam, tatusiu.

- Żeby mi to było ostatni raz! Nie mam czasu za tobą biegać. Muszę jechać do Szwecji.

- Nie jedź, tatusiu. Zostań ze mną. Mamusi nie ma i jeszcze ty...

- Wiem, ale muszę załatwić kilka ważnych spraw - zaczął jej tłumaczyć.

Wziął ją na ręce i zaniósł do pokoju, gdzie Maren już przebierała Ingę. Spojrzała na Kajsę i westchnęła.

- Te dziewczynki są niemożliwe. Valborg nic tylko pierze ich ubranka.

- Gdzie jest Lara?

- Sprząta kuchnię.

- Pójdę z nią porozmawiać.

- Dlaczego?

- Wygląda na to, że jesteśmy spokrewnieni.

- No coś takiego! - zdziwiła się Maren.

- Od dawna mnie to męczyło. Miałem wrażenie, że kogoś mi przypomina. Teraz już wiem kogo.

- Wiesz, kim ona dla ciebie jest?

- Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie. Najpierw muszę z nią porozmawiać i potwierdzić swoje przypuszczenia.

- Słusznie.

Maren zdjęła Kajsie sukienkę.

- Jesteś cała mokra, trzeba cię wykąpać.

- Nie!

Dziewczynka opierała się, ale Maren chwyciła ją mocno za rączkę i pociągnęła po schodach na górę. Inga ruszyła za nimi.

Ole patrzył za nimi chwilę, uśmiechnął się i wszedł do kuchni, gdzie Lara piła właśnie kawę. Na jego widok wstała i dygnęła.

- Siadaj, proszę. Też chętnie napiję się kawy - powiedział.

Dziewczyna podała mu kawę. Zaczął pić, a po chwili spytał:

- Kim jest twój ojciec? Lara zeszywniała.

- Nie znałam go. Ale mama dużo mi o nim opowiadała.

- Więc nie wiesz, jak się nazywał?

- Wiem, ale wolałabym o tym nie mówić. - A jednak tutaj przyjechałaś. Dlaczego? Lara wstała i postawiła filiżankę na szafce.

- Przyjechałam tu, żeby odnaleźć jego grób - przyznała, patrząc w okno.

- I odnalazłaś?

Ole domyślał się, kim był ojciec dziewczyny, ale chciał, żeby ona sama mu to powiedziała.

- Tak, odnalazłam. Chodzę tam niemal codziennie.

Ole zauważył to już wcześniej. Któregoś dnia, kiedy sam się tam wybrał, zobaczył ją z daleka. I właśnie wtedy powziął pewne podejrzenia.

- Wiem. - Nadal się jej przyglądał.

- Tak? - spytała zdziwiona.

- Widziałem, jak kładziesz kwiaty na jego grobie. Twój ojciec miał na imię Sigmund i był moim bratem bliźniakiem. Prawda?

Lara pokiwała głową.

- Usiądź, proszę - powtórzył Ole. - Chcę, żebyś mi wszystko opowiedziała.

Dziewczyna usiadła na krześle i zaczęła:

- Sigmund i moja matka poznali się w Finlandii. Zakochali się w sobie i pewnie właśnie tam zostałam poczęta. Potem tata musiał wyjechać. Nigdy już nie wrócił, ale mama nie mogła o nim zapomnieć. Niestety, nie zdążyłam go poznać. Przyjechałam za późno.

- To prawda, cieszę się jednak, że przyjechałaś. Sigmund był dobrym bratem. Został zabity, a ja dowiedziałem się o tym jakiś czas po jego śmierci.

- Był miły?

- Tak. Chociaż miał też swoje wady, jak wszyscy. Lara znów skinęła głową.

- Przykro mi, że nie zdążyłam go poznać.

- Rozumiem cię. Nie musisz tu dłużej pracować. Możesz żyć lepiej. Dostaniesz własny pokój i ładne stroje.

Ole myślał o tym już od jakiegoś czasu. Lara była sympatyczną i dobrą dziewczyną, a poza tym jego bratanicą. Nie rozumiał tylko, dlaczego się upierała, żeby palić fajkę.

- To nie dla mnie, ja lubię proste życie - odmówiła.

- Nie musisz pracować... - powtórzył Ole.

- Ale chcę. Znalazłam tu przyjaciółki. Valborg i Berte. Często wieczorami gramy w karty. Chodzimy razem na tańce...

- Zrobisz, jak zechcesz - przerwał jej Ole.

Jego myśli znów zaczęły wędrować. Bez przerwy widział przed sobą Amalie. Cały czas o niej myślał. Szukał jej wszędzie - po wsiach, w lesie, ale nie znalazł nawet najmniejszego śladu.

- Brakuje ci jej - zauważyła nagle Lara.

- Tak, to prawda. Była dla mnie wszystkim. I nagle przepadła jak kamień w wodę. Najgorsze, że nie wiem nawet, co się z nią stało. Zadręczam się, źle sypiam - przyznał Ole i wypił resztkę kawy.

- Ona do ciebie wróci.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Tak. Nic was nie może rozdzielić. Pewnego dnia znów się tu pojawi. Nie wolno ci tracić nadziei.

- Oby twoje słowa się sprawdziły - westchnął Ole.

- Wyjeżdżam do dworu w Szwecji - dodał po chwili.

- Przyślij po mnie, gdyby coś się wydarzyło. To moja prośba do ciebie, Laro.

- Dobrze.

- Idę. Koń już pewnie gotów - rzucił i wyszedł do sieni, gdzie stała już jego torba podróżna.

Szybko przeszedł przez dziedziniec i wziął konia od Juliusa.

- Szczęśliwej podróży. Dbaj o siebie - odezwał się zarządca z troską.

- Dobrze. Za tydzień wracam - obiecał Ole. Przytroczył torbę do siodła, wsiadł na konia i chwycił cugle.

- Do zobaczenia - dodał.

Cmoknął na konia i już po chwili galopował traktem. Miał nadzieję, że załatwi sprawy szybciej i nie będzie musiał spędzać w Szwecji całego tygodnia. Chciał co rychlej wrócić do domu.

Wkrótce dojechał do wsi. Wokół panowała cisza, w oddali zobaczył znajomą postać. Drogą szedł Peter.

Dogonił go jeszcze przed lasem.

- Peter?

Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił. Był pijany. - Czy to mój rywal za mną jedzie? - wybełkotał. Oparł się o pień drzewa; widać było, że z trudem trzyma się na nogach.

- Nie słyszałeś, że Amalie zniknęła? - spytał Ole. - Zniknęła? - powtórzył zdziwiony Peter. - Nie, nic nie słyszałem.

- No cóż. Powinieneś uważać. W lesie jest dużo dzikich zwierząt. Pilnuj się, bo może ci się coś przytrafić.

- Nie boję się! - obruszył się Peter. - Powinieneś przestać pić. Wiesz, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Piję, bo moja ukochana wołała ciebie. Nie mogę na ciebie patrzeć. Jedź już, zniknij!

Ole westchnął, pośpieszył konia i odjechał.

Tuż przed granicą zauważył w lesie chałupę. Z komina leciał dym, furka była otwarta. Podjechał bliżej, zatrzymał się i zeskoczył z konia.

Pomyślał, że może będzie mógł tu chwilę odpocząć. Wszedł po kamiennych schodkach i zapukał do drzwi. Czekał, aż ktoś mu otworzy, ale nikt się nie pojawił. A przecież ktoś musiał być w środku, skoro z komina leciał dym.

Nagle usłyszał jakieś drapanie w drzwi. Jakby ktoś pociągał po nich paznokciem od wewnątrz.

- Halo! Jest tam kto? - spytał, ale i tym razem nie doczekał się odpowiedzi.

Czyżby ktoś sobie z niego drwił?

Po chwili rozległy się jakieś trzaski i drzwi zaczęły się powoli otwierać. Ole wzdrygnął się i zrobił krok do tyłu,

- Halo? - powtórzył zaniepokojony.

Kiedy i tym razem nie dostał żadnej odpowiedzi, pchnął drzwi i je otworzył. Pomieszczenie, do którego wszedł, było ciemne i zimne. Poczul powiew wiatru na nogach.

Rozejrzał się po izbie. Na środku stało krzesło i połamany stół, którego części najwyraźniej zużyto na opał. W izbie okropnie cuchnęło. Ole zatkał nos i zastanawiał się, dokąd trafił. Podeszedł do paleniska i dotknął kamieni: były zimne, a przecież widział unoszący się z komina dym. Czyżby mu się tylko tak zdawało? Podniósł głowę i spojrzał do góry. Otwór w dachu był zamknięty.

Dziwne.

Pokręcił głową i przeciągnął dłonią po twarzy. Uznał, że najrozsądniej będzie jak najszybciej stąd wyjechać i znaleźć jakieś inne miejsce na nocleg.

Ruszył do wyjścia, a wtedy nagle drzwi się przed nim zamknęły. Stanął i przyglądał się im zdumiony. Chwycił za klamkę, ale nic to nie dało. Pociągnął jeszcze raz, na próżno. Usłyszał za sobą jakiś dźwięk, odwrócił się, lecz nikogo nie było. Miał jednak wrażenie, że ktoś w głębi chaty przestawia meble, zauważył też, że leżący na podłodze szmaciany dywanik zaczyna się przesuwac.

Przełknął głośno ślinę. Nie pozwoli się zastraszyć!

Znów rozległy się trzaski, głośniejsze niż poprzednio, i szuranie krzesła po starej drewnianej podłodze. Rozejrzał się. Skąd dochodziły te dziwne dźwięki? Z sąsiedniej izby? Nagle dobiegło go stukanie w podłogę. Spojrzał w dół i zobaczył, że deski podłogi się ruszają! W tym domu straszło, nie zamierzał zostawać w nim ani chwili dłużej.

Postanowił, że jeśli nie uda mu się otworzyć drzwi, wybije szybę w oknie.

Najpierw jednak chciał sprawdzić, co jest w izbie obok. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Powietrze było tam tak gęste, że z trudem oddychał. Podeszedł do okna i zdjął haczyk, ale okno ani drgnęło. Rozejrzał się i zobaczył leżącą w kącie deskę. Uderzył nią w szybę, lecz szkło nie pękło. Spróbował jeszcze raz i znowu nic.

Bał się, ale przede wszystkim się zezłościł. Jak ma stąd wyjść? Odwrócił się, bo usłyszał za sobą czyjeś kroki. Oczywiście, znów nikogo nie było. Na przeciwległej ścianie kołysał się obraz. Ole przyjrzał mu się i zobaczył, że przedstawia starszego mężczyznę o długich siwych, niemal białych włosach, w kapeluszu i z laską w ręce. W tle stał biały koń. Ole cofnął się i nagle dotknął plecami o ścianę. Aż się wzdrygnął.

To musiał być Posepny Starzec, o którym wspominała mu Amalie. I jego koń: biały, o mieniącej się w słońcu sierści.

Przeżegnał się, ale nie spuszczał wzroku z obrazu. Miał wrażenie, że Posepny Starzec wwierca się w niego pustymi oczodołami, że jego włosy się poruszyły, a koń parska. Słyszał też stukanie laski o ziemię.

Podbiegł do drzwi, chwycił za klamkę, pociągnął z całej siły, ale drzwi nie ustępowały. Zaczął walić w nie pięściami. Nic nie pomagało. Nagle rozległ się głośny okrutny śmiech i czyjeś kroki. Ole pokonał strach i się odwrócił. Krzesło sunęło po podłodze, zatrzymało się na chwilę i uderzyło o ścianę tak mocno, że rozsypało się na kawałki.

Ole zaczerpnął głęboko powietrza. Odór przyprawiał go o mdłości. Dlaczego tu wszedł? Nie powinien był tego robić.

Żałował, że nie ma przy nim Amalie. Ona pewnie wiedziałaby, co zrobić.

- Ona ci teraz nie pomoże. Po co się tu zjawileś? Dlaczego jej nie szukasz? Walcz o swoją miłość. Już raz ci się udało... - usłyszał nagle.

Głos brzmiał spokojnie i łagodnie.

Ole stał na środku izby i próbował dojść, skąd dobiega ten głos. Czyżby to Posepny Starzec do niego przemówił? Dotarła do niego prawda, że on, mąż Amalie, powinien zrobić wszystko, aby ją odnaleźć. Ktoś musiał ją widzieć, gdzieś musiała być. Dokąd Anjalan mógł ją zabrać? Raczej nie do Finlandii, bo tam był poszukiwany. Ole postanowił wrócić do Tangen i przesłuchać ludzi. Może ktoś ich

zauważył. Amalie zwracała przecież uwagę swoją urodą, wyróżniała się w tłumie.

Przed wszystkim jednak musiał wydostać się z tej chaty. Gotów był wyłamać drzwi, byle tylko opuścić to miejsce.

Nagle usłyszał słaby trzask i ze zdziwieniem zobaczył, że drzwi powoli się otwierają. Kiedy się rozwarły, oślepiło go słońce, ale i tak zdążył dostrzec stojącego na podwórzu białego konia.

Ruszył szybko przed siebie, dotarł do kamiennych schodków i nagle stanął jak wryty. Poczł, że włoski zjeżyły mu się na karku. Znow usłyszał, jak drzwi się otwierają i ponownie rozległ się ten sam głos: - Dokonałeś właściwego wyboru.

Ole wrócił do Tangen i zaczął zbierać ludzi na poszukiwania Amalie. Zamierzał dotrzeć wszędzie, poświęcić na to całą jesień i zimę, jeśli będzie trzeba. W tym czasie Julius miał zarządzać gospodarstwem, a Lars dopilnować żniw i zająć się jesiennym ubojem. Helga i Maren obiecały zaopiekować się dziećmi, a Lara zobowiązała się doglądać równych prac domowych. Jako lensman Ole miał prawo zebrać więcej ludzi niż zwykle w takich przypałach. Dziękował Bogu, że odzyskał swoje dawne stanowisko.

- Możemy ruszać, chłopcy! - oznajmił, gdy już wszystko było gotowe, a do siodeł przytroczone sakwy z zapasem żywności i wody.

Wsiedli na konie i ruszyli.

Ole bardzo tęsknił za Amalie. Cały czas słyszał w głowie jej głos, czuł przy sobie jej obecność. Wiedział, że ona też o nim myśli, tak jak poprzednio, kiedy los ich rozdzielił. Wtedy także był pewien, że Amalie żyje i że o nim nie zapomniła.

Wjechali w las i skierowali się w stronę Roverud. Ole postanowił, że będzie dokładnie wypytywał mieszkańców mijanych wiosek, że będzie rozmawiał z każdym - z gospodarzami i parobkami. Nikogo nie pominie. A potem pojedą do Kongsvinger. To duże miasto, lecz jeśli Amalie tam była, ktoś musiał ją zauważyć.

- Szybciej! - ponaglił jadących za nim ludzi. Wkrótce pędzili galopem przez las. Nie mieli czasu do stracenia.

Rozdział 10

„Znajdę cię, Amalie. Nie poddam się. Jesteś moją miłością. Brakuje mi ciebie. Znajdę cię... Znajdę...”

Amalie drgnęła i usiadła, ale zaraz znów opadła na kolę. Słyszała głos Olego. Nazwał ją swoją miłością. Zaczęła płakać. Bardzo za nim tęskniła. Teraz jednak wiedziała, że Ole jej szuka i że się nie podda. Wierzyła, że pewnego dnia ją odnajdzie.

- Ole - szepnęła. - Kocham cię, Ole. Jestem bardzo daleko, ale nadejdzie dzień, kiedy znów będziemy razem. Chcę wrócić do domu, do ciebie i dzieci. Chcę żyć tak jak dawniej.

Anjalan poruszył się niespokojnie. Spał na sienniku w ubraniu, okryty kocem. Amalie westchnęła i otarła łzy z policzków. Miała wrażenie, że czuje na sobie ręce Olego, że słyszy jego głos. Był tak blisko, że niemal czuła zapach jego tytoniu. I świeży zapach lasu. Bo pachniał lasem. Może był w lesie? Może jej tam szukał?

Nie ma mnie tam, Ole. Jestem daleko od domu. Bardzo, bardzo daleko. Na morzu, w drodze do Anglii. Dookoła mnie jest woda... Woda... - przesyłała mu w myślach wiadomość.

Miała nadzieję, że jej myśli dotrą do niego. Zamknęła oczy i ujrzała go na koniu, silnego i dumnego. I zdeterminowanego ją odnaleźć.

Nagle poczuła się bezpieczna. Nabrała pewności, że się odnajdą. A wtedy ona rzuci mu się w ramiona, obsypie go pocałunkami i powie mu, że kocha go z całego serca.

Spojrzała na Anjalana, który otworzył już oczy i przyglądał jej się podejrzliwie.

- Co tak patrzysz? - spytał z irytacją.
- Nie mogę zasnąć - odpowiedziała, zresztą zgodnie z prawdą.
- Jest środek nocy.
- Wiem, ale źle się czuję. Jej mi niedobrze. Strasznie kołysze.
- Sztorm się ucisza, spróbuj zasnąć.

Zamknęła oczy, żeby go nie drażnić, i wróciła myślami do domu. Ciekawe, jak się czuje Helga. Pewnie się o nią martwi. Pewnie wszyscy w Tangen się o nią martwią.

Zobaczyła przed sobą Kajkę. Upartą, pełną energii. Kajka jest silna, na pewno sobie poradzi. A bliźnięta? A Oddvar? Uśmiechnęła się do siebie. A Inga? Czy wciąż jest w Tangen? Zapewne tak. Tęskniła za nimi wszystkimi.

Anjalan zasnął i zaczął chrapać. Przeszkadzało jej to, ale co miała zrobić? Wzdrygnęła się, kiedy nagle usłyszała pukanie do drzwi. Anjalan usiadł i ziewnął.

- Kto to, do diabła? - mruknął zaspany.

- Nie wiem - odparła Amalie.

Miała nadzieję, że to kapitan, że starszy mężczyzna powiedział mu o niej. Może już wkrótce odzyska wolność?

- Otwierać! Jestem kapitanem. Więzi pan kobietę! Anjalan wstał.

- Niech to szlag! Skąd on o tym wie? Odwrócił się i spojrzał na nią z wściekłością.

- Ty suko! Musiałaś coś komuś wypaplać.

Amalie wcisnęła się w róg koi. Bała się nie na żarty. Tak wściekłego widziała go chyba tylko w Tangen, kiedy przeciągnął Olemu nożem po szyi.

- Otwierać, w imię prawa!

Anjalan wyciągnął Amalie z łóżka, jakby była lalką, i wykręcił jej ręce na plecach. Poczwała na skórze ostrze noża. Na próżno próbowała oswobodzić się z jego uchwytu.

- Puść mnie! Przegrałeś.

- Ja nigdy nie przegrywam. Jesteś moją nimfą leśną. Poślubię cię i... - zamilkł, bo usłyszał, że ktoś przekręca klucz w zamku. Po chwili drzwi się otworzyły i wszedł kapitan.

Był to wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna. Spojrzał uważnie na Amalie, nie zwracając uwagi na Anjalana.

- To pani jest tu więziona? - spytał i uniósł do góry czarne krzaczaste brwi.

- Tak, to ja - potwierdziła.

Głos jej się łamał, była przerażona, bo czuła na plecach ostrze noża. Przełknęła głośno ślinę. Zastanawiała się, czy Anjalan odważy się zadać jej cios. Naprawdę chciał ją zabić?

Kapitan przeniósł wzrok na niego.

- Puść kobietę! Natychmiast! - rozkazał mu i dał znak trzem marynarzom, którzy wpadli za nim do kajuty.

Amalie uskoczyła na bok i marynarze szybko obezwładnili Anjalana. Leżał teraz bezradny na podłodze, przeklinając i złorzecząc.

Kapitan podszedł do Amalie.

- Przepraszam, że tak długo to trwało, ale miałem inne sprawy na głowie - powiedział.

Amalie podziękowała mu gorąco. Ze szczęścia gotowa była rzucić mu się na szyję. Ale radość nie trwała długo, bo nagle Anjalan sięgnął po nóż, pchnął nim jednego z marynarzy i błyskawicznie wybiegł z kajuty.

- Boże drogi! On ucieka! - krzyknęła Amalie.

- Za nim! - rozkazał kapitan. - Ja zajmę się rannym - dodał i kucnął obok leżącego na podłodze marynarza.

- Co z tobą, chłopcze?

- Chyba w porządku. Kamizelka ratunkowa mnie uratowała, rana nie jest głęboka.

- Pokaż - zażądał kapitan.

Zdarł z niego koszulę i spojrzał na ranę. - Rzeczywiście, cięcie jest niewielkie. Wyjdiesz z tego - stwierdził z ulgą. Marynarz westchnął i wstał.

- Ten człowiek jest szalony.

- Idź już. I poproś doktora, żeby obejrzał ranę.

- Tak jest, kapitanie.

Marynarz wyszedł i Amalie została sama z kapitanem.

- Jeszcze raz bardzo panu dziękuję - odezwała się drżącym głosem.

Cieszyła się, że rana marynarza okazała się niegroźna, ale nadal bała się Anjalana. Miała nadzieję, że marynarze wkrótce go złapią.

- Nazywam się Kare Pettersen - przedstawił się kapitan i podał jej rękę.

- A ja Amalie Hamnes. Zostałam porwana w Fińskim Lesie.

- Jak to się stało? - dopytywał kapitan.

Amalie opowiedziała mu o całym zdarzeniu i o swojej rodzinie.

Kapitan słuchał i kiwał głową.

- Jest pani daleko od domu. Ale proszę ze mną. Przydzielę pani lepszą kajutę. Nie może pani tu zostać, w tym zaduchu i brudzie. Dopilnuję, żeby mogła się pani umyć i postaram się znaleźć dla pani coś czystego do przebrania.

Amalie spojrzała na swoją podartą brudną suknię i odparła z wdzięcznością:

- Nie wiem, jak panu dziękować.

- Ależ nie ma takiej potrzeby. Najważniejsze teraz to obezwładnić tego szaleńca.

Ruszyła za kapitanem wąskim korytarzem. Po chwili dotarli do niewielkiego holu oświetlonego lampkami. Po jego prawej stronie były drzwi do kajut. Kapitan otworzył jedne z nich i weszli do środka. Kajuta okazała się duża, a łóżko wyglądało na wygodne. Amalie rozejrzała się i zauważyła też stolik oraz krzesło z ciemnego drewna. Z sufitu zwisały dwie lampy, obie zapalone. Było jasno i ciepło.

- Ładnie tutaj - pochwaliła. Zadowolona, zobaczyła także miskę i wiadro z wodą.

- Czy mógłby obejrzeć mnie lekarz pokładowy? - spytała. - Jestem brzemienna, a od czasu kiedy Anjalan rzucił się na mnie, czuję silny ból w klatce piersiowej.

- Dobrze, poproszę doktora, żeby się panią zajął. Teraz może się pani umyć i chwilę odpocząć. Wkrótce znów tu zajrzę - obiecał.

- Jeszcze raz dziękuję. Jest pan bardzo uprzejmy.

Kapitan uśmiechnął się i wyszedł. Amalie opadła na koję i odetchnęła z ulgą. Była tak zmęczona, że mogła usnąć na siedząco. Kapitan jednak dał jej do zrozumienia, że najpierw powinna się umyć. Na pewno bał się, że może przywlec jakieś robactwo, poza tym nie chciała pobrudzić czystego łóżka.

Po jakimś czasie kapitan, zgodnie z obietnicą, wrócił do kajuty.

- Anjalan zniknął. Marynarze nie mogą go znaleźć, chociaż musi tu gdzieś być. Postawię przed pani drzwiami strażnika i każę załodze mieć na wszystko oko.

Amalie znów poczuła lęk. Anjalan był wolny. Mógł ją odnaleźć i rzucić się na nią z nożem. Dobrze, że kapitan zapewni jej ochronę.

- Pokażę pani, gdzie może się pani umyć, ale potem przez jakiś czas będzie pani musiała radzić sobie sama. Muszę wrócić na mostek.

- Dziękuję, ale boję się wracać sama do kajuty - przyznała. Strach znów ścisnął jej żołądek.

- Przydzielę pani młodą dziewczynę do pomocy. Znajdzie dla pani coś do przebrania i pokaże, gdzie może pani coś zjeść. A potem przyjdzie lekarz i panią zbada.

Amalie była bardzo wdzięczna kapitanowi. Okazał się dobrym i życzliwym człowiekiem. Nigdy nie zapomni tego, co dla niej zrobił.

Odprowadził ją do pomieszczenia, gdzie czekała na nią dziewczyna. Miała nie więcej niż szesnaście lat. Była niska i raczej pulchna, lecz uśmiechnięta i sympatyczna.

- Tu może się pani umyć. Na krześle leży czysty ręcznik - poinformowała i odeszła.

Amalie zdjęła zniszczoną suknię i rzuciła ją na krzesło. Umyła się i od razu poczuła się lepiej. Rozczesała zmierzwione włosy, też je umyła i zostawiła rozpuszczone. Dziewczyna wróciła z czystą suknią.

Amalie podziękowała jej, a dziewczyna dygnęła grzecznie i dodała:

- Przyniosłam też nocną koszulę. Mam nadzieję, że będzie pasować. Kiedy pani skończy, marynarz, który czeka przed drzwiami na korytarzu, odprowadzi panią do kajuty.

- Bardzo dziękuję. Za wszystko.

- Cieszę się, że mogłam pomóc - zapewniła dziewczyna, zaczerwieniła się i odeszła.

Amalie została sama i od razu włożyła czystą suknię. Pasowała idealnie. Następnie sięgnęła po nocną koszulę, przerzuciła ją przez rękę i wyszła na korytarz, gdzie obok drzwi rzeczywiście stał wysoki, dobrze zbudowany marynarz.

Uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Odprowadzę panią do kajuty. Proszę się niczego nie obawiać, zostanę na korytarzu i będę pani pilnować.

Kiedy dotarli na miejsce, Amalie weszła do środka, a marynarz zamknął za nią drzwi i został na zewnątrz. W kajucie Amalie zdjęła suknię i włożyła bawełnianą koszulę nocną, nieco zbyt obszerną w biuście, ale to nie miało znaczenia. Ledwie zdążyła się położyć, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Lekarz pokładowy - usłyszała męski głos. - Proszę.

Drzwi się otworzyły i wszedł korpulentny starszy pan. Natychmiast go rozpoznała. To jego prosiła, żeby zawiadomił kapitana.

- Pani Hamnes, proszę się położyć, zaraz panią zbadam.

- Najpierw chciałabym podziękować panu za pomoc.

- Nie ma za co. Od razu się domyśliłem, że coś jest nie tak. Na szczęście dobrze znam kapitana, więc mi uwierzył.

- Rzeczywiście, miałam szczęście.

- Pozwoli pani, że panią zbadam? - powtórzył doktor.

Uniósł jej koszulę i zaczął ją delikatnie badać.

- Który to miesiąc? - spytał.
- Czwarty, może piąty.
- Oprócz bólów w klatce piersiowej nic pani nie dolega?
- Nie, tylko często mam mdłości.
- To typowa przypadłość w pani stanie. A teraz proszę odsłonić żebra.

Amalie uniosła koszulę wyżej i lekarz dotknął jej klatki piersiowej. Aż wzdrygnęła się z bólu.

- Kiedy to się stało? - Doktor przyglądał jej się uważnie.
- Jakies dwa tygodnie temu. Anjalan przewrócił mnie i rzucił się na mnie. Wtedy poczułam ostry ból. Lekarz skinął głową.
- Tak, ma pani złamane kilka żeber, ale wygląda na to, że zrastają się dobrze. Może pani być spokojna. Ból wkrótce ustąpi.
- Ulżyło mi - przyznała Amalie i uśmiechnęła się do starszego pana.

Doktor odwzajemnił jej uśmiech.

- Proszę zrobić mi przyjemność i dołączyć jutro do mojego stolika. Jem razem z kapitanem, to bardzo miły człowiek.
- Nie wiem, czy mogę. Nie mam pieniędzy i...
- Pieniądzy? Zajmę się tym.
- Na pewno?
- Oczywiście. Zapłaci mi pani innym razem, w miłszych okolicznościach.
- A więc dobrze, chętnie dotrzymam panu towarzystwa - zgodziła się z uśmiechem.

Poprawiła koszulę i położyła się na łóżku. Była wykończona.

- Matka i dziecko czują się dobrze - podsumował lekarz i podszedł do drzwi. Tam zatrzymał się jeszcze i dodał: - Słyszałem, że ten łajdak uciekł. Ale na pewno szybko go znajdą. Statek jest co prawda spory, lecz zapewniam panią, że kapitan robi wszystko, żeby jak najszybciej go złapać.

- Dziękuję. Czuję się spokojniejsza. Bardzo się go boję.
- Doskonale panią rozumiem.

Doktor wyszedł, a ona nakryła się kołdrą i zamknęła oczy. Czowała się bezpiecznie. Na zewnątrz stał marynarz i jej pilnował. Anjalan na pewno nie odważy się tu przyjść. Poza tym nie wie przecież, gdzie ona przebywa, a statek jest duży.

Anjalan uniósł brezent, który okrywał szalupę ratunkową. Zwisiała na linie na zewnątrz statku i nie czuł się w niej bezpiecznie. Ale wszystko odbyło się tak szybko, że nie miał czasu pomyśleć. Kiedy usłyszał pukanie do drzwi, był zaspany i zdezorientowany. Niech to szlag! Musi się raz na zawsze rozprawić z tą przekłętą Amalie. Znajdzie ją i zabije. Zniweczyła wszystkie jego plany. Na szczęście nie utracił noża. Postanowił pilnować go jak oka w głowie. No i sreber. Oby tylko załoga ich nie znalazła. Ukrył je starannie na statku, ale nigdy nie wiadomo.

Wiedział, że musi być ostrożny. Wkrótce zapewne dotrą do Londynu. Przynajmniej taką miał nadzieję. A co zrobi, jak poczuje pragnienie albo głód? Jak sobie wtedy poradzi? Czy odważy się opuścić swoją kryjówkę?

Wyjrzał ostrożnie. Był środek nocy i pasażerowie spali. Na pokładzie nie zauważył nikogo, ale marynarze na pewno czuwali, a nie mógł dopuścić do tego, żeby zobaczył go ktokolwiek z załogi. Poza tym w pobliżu jego kryjówki znajdował się mostek kapitański. Zaklął siarczyście i poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Przechytrzyła go. Kobieta! Ale powinien był to przewidzieć. Amalie jest przebiegła. I odważna. A przede wszystkim go nienawidzi.

Zamknął oczy. Szalupa zaczęła się kołysać, więc chwycił się burty z obawy, że lina może się zerwać. Po chwili jednak wszystko się uspokoiło i odetchnął z ulgą. Nadal jednak nie czuł się bezpieczny. Przeklinał to, co się stało. Nie tak to sobie wyobrażał.

Znów wyjrzał na zewnątrz, spojrział w lewo, potem w prawo. Wszędzie było pusto, postanowił więc zaryzykować. Szybko znalazł się na pokładzie i sprawdził, czy ma nóż. Teraz musiał bardzo uważać.

Przebiegł przez pokład, dotarł do rufy i otworzył jakieś drzwi. Amalie powinna gdzieś tu być. Kapitan na pewno ją ukrył, ale on ją znajdzie.

Zszedł na dół, cały czas bacznie się rozglądając. Powietrze było ciężkie, zrobiło mu się niedobrze, więc przełknął ślinę i próbował myśleć o czym innym. Zastanawiał się, czy pochodzące z kradzieży srebra, które wiozł ze sobą, zapewnią mu dostatnie życie w Londynie. Ostrożnie i czujnie skradał się korytarzem. Gdyby teraz ktoś stanął mu na drodze, bez wahania pchnąłby go nożem. Nie pozwoli znów się złapać i zamknąć.

Znalazł się w wąskim korytarzu, z którego odchodziły różne drzwi. Czy gdzieś tu jest Amalie? Była noc, więc pewnie już spała. Niech ją diabli! Myśli mu się mieszały, żałował, że nie ma przy sobie gorzałki. Szedł jednak dalej i nasłuchiwał pod drzwiami. Przed jednymi z nich stał marynarz. Co on tu robił? Podeszedł do niego i spytał, ukrywając nóż za plecami:

- Stoisz tu na straży?

- Pewnie tak to można określić - mruknął marynarz i już chciał się odwrócić, ale nagle spojrzął na niego uważnie i zmarszczył czoło.

- To ty nam uciekłeś? - zapytał.

- Tak - potwierdził Anjalan. - Za tymi drzwiami jest moja nimfa leśna. Muszę się z nią zobaczyć. Odsuń się.

- O, nie! - odparł marynarz i chwycił go mocno za rękę.

Zanim Anjalan się zorientował, leżał już na podłodze, a na nim siedział okrakiem marynarz i wyciągał z kieszeni kajdanki.

- Puść mnie, bo cię zabiję! - wrzasnął Anjalan. Wiedział, że musi działać błyskawicznie. Teraz albo nigdy. Zamachnął się, lecz w tym samym momencie marynarz wykręcił mu rękę i nóż upadł na podłogę.

- Ty nędzna kreaturo! - syknął marynarz, zakładając mu kajdanki.

Anjalan został pojmany.

- Puść mnie! - krzyczał, ale mężczyzna trzymał go mocno.

- Tym razem nam nie uciekniesz. Zamkniemy cię razem z innymi awanturnikami.

Marynarz wstał i pociągnął go za sobą. - Lepiej będzie, jeśli pójdziesz ze mną z własnej woli.

Anjalan był wściekły, ale zrozumiał, że opór na nic się nie zda. Wiedział, że za drzwiami jest Amalie, już dla niego nieosiągalna. Tym razem przegrał, lecz kiedyś ją znajdzie. W Anglii albo w Norwegii. Nie zamierzał spędzić reszty życia w londyńskim więzieniu!

Rozdział 11

Elise widziała rozpacz Torsteina, kiedy dotarło do niego, że brat zniknął. Natychmiast powiadomił lensmana i razem przeszukali chyba cały las. A Iver był tak blisko!

Torstein odstawił miskę.

- Co się z nim mogło stać?

Elise siedziała naprzeciwko niego i piła kawę.

- Nie wiem. Wpadł tu na chwilę i zaraz wybiegł.

- Tak, ale łopata jest w szopie. A powiedziałaś, że... - Jestem pewna, że wziął ją ze sobą.

- Nic z tego nie rozumiem. Mamy tylko jedną łopatę. Tę, która stoi w szopie.

- Też nie potrafię tego wytłumaczyć.

Nie chciała go okłamywać. Kochała go, pragnęła być wobec niego szczerą, ale nie miała wyboru. Zrobiła, co zrobiła, i wiedziała, że nic już nie wskrzesi Ivera.

- Bez przerwy o tym myślę. Iver poszedł po siekierę... - zaczął znów Torstein.

Elise wzruszyła ramionami.

- Porozmawiajmy o czymś innym. Torstein wstał i odstawił filiżankę.

- Pójdę się przejść. Muszę zaczerpnąć powietrza.

- Mogę iść z tobą? Skinął głową.

Po chwili wyszli razem na zewnątrz. Torstein usiadł na kamiennych schodkach, a ona obok niego. Spojrzała na miejsce, gdzie pochowała Ivera. Między kamieniami zdążyły już wyrosnąć chwasty. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, gdy nagle poczuła, że ktoś ją szturcha. Wzdrygnęła się przestraszona, i zerknęła za siebie. Nikogo nie było. Pewnie coś jej się przywidziało, pomyślała i poprawiła sukienkę.

- Wiem, że Iver był dziwny, ale to mój brat i bardzo mi go brakuje - rzucił Torstein w zamyśleniu.

Popatrzył na podwórze i ziewnął. - Jestem okropnie zmęczony.

- Może powinieneś zdrzemnąć się chwilę? Położę się obok ciebie - zaproponowała.

Wzięła go pod rękę, ale on wstał i zszedł ze schodów.

- Nie. Muszę iść do lasu narąbać drewno. Trzeba zrobić zapas na zimę. A czasu coraz mniej. Dzisiejsza noc była zimna - odparł.

- Dobrze, idź - zgodziła się Elise. - A ja zajmę się obiadem, żeby był gotowy, kiedy wrócisz.

- Cieszę się, kochanie.

Pocałował ją w czubek nosa i ruszył do szopy. Po chwili wyszedł i skierował się w stronę lasu.

Elise podeszła do miejsca, gdzie leżał Iver. Miała poczucie winy. Była morderczynią. Okrutną kobietą, która pozbawiła życia drugiego człowieka. Jak mogła coś takiego zrobić?

Szła już do domu, gdy wydało jej się, że słyszy jakiś hałas. Stanęła i zerknęła na szopę. Po chwili podeszła do niej ostrożnie i zajrzała do środka, ale niczego nie zauważyła. Podniosła głowę i spojrzała na belki u sufitu, gdzie na hakach wisiały narzędzia i końska uprząż.

Nagle zrobiła wielkie oczy: kosa drgnęła i zaczęła się ruszać coraz szybciej i szybciej. Przesuwała się w jej stronę! Elise cofnęła się przerażona, i ukucnęła. Poczowała pęd powietrza, kiedy kosa przeleciała tuż nad jej głową.

W panice wybiegła z szopy i zobaczyła, że kosa leży obok miejsca, gdzie pochowała Ivera! Niemożliwe, pomyślała. Podeszła i ją podniosła, ale zaraz szybko puściła, bo poczuła zimny powiew na karku. Zawróciła i pobiegła do domu.

Usiadła na ławie i zaczęła myśleć gorączkowo. Przede wszystkim powinna przygotować obiad. Wrzuciła do paleniska kilka szczap i poczekała, aż się zajmą ogniem, a potem pokroiła szynkę i poszła do spiżarni po warzywa. Kiedy wróciła, zobaczyła, że kawałki mięsa leżą porozrzucane na podłodze. Wzięła szczotkę, zmiotła wszystko i wyrzuciła do kubła.

Jak to się stało, że mięso znalazło się na podłodze? Musiała szybko przygotować coś innego, bo Torstein wróci z lasu głodny. W spiżarni znalazła boczek i solone mięso. Rzuciła boczek na patelnię i kuchnię wypełnił smakowity zapach. Wzięła kęs do ust i wtedy usłyszała za sobą dziwny dźwięk.

Odwróciła się i zobaczyła, że okno się otworzyło i uderzyło o ścianę. Szyba się rozbiła i odłamki szkła wleciały do kuchni.

Przeszedł ją dreszcz, ale opanowała się, znów wzięła szczotkę i zaczęła zamiatać. Nagle spostrzegła, że patelnia się porusza, jakby popychała ją jakaś niewidzialna ręka, i po chwili spadła z hukiem na podłogę.

Czyżby ktoś postanowił sobie z niej zakpić?

Zebrała boczek z podłogi i też go wyrzuciła. Potem napełniła wiadro wodą i zabrała się do szorowania podłogi. Okno dalej biło o ścianę. Elise podniosła głowę i zobaczyła, że zanosi się na burzę. To wszystko tłumaczyło, uznała. To na pewno przeciąg wybił szybę.

W końcu ugotowała kaszę i czekała na Torsteina, ale on nie przychodził. Kasza zdążyła wystygnąć, a jego wciąż nie było. Zaniepokojona, zaczęła krążyć nerwowo po domu. Na zewnątrz panował już mrok, wiatr przybierał na sile. Gdzie się podziewał Torstein?

Okno ze zbitą szybą nadal uderzało o ścianę. Próbowwała je zamknąć, ale na próżno, bo haczyki się powyginały. Na szczęście w palenisku wciąż płonął ogień i w kuchni było przyjemnie ciepło.

Elise ponownie spojrzała na kaszę. Postanowiła zanieść ją do spiżarni i poczekać na Torsteina w pokoju. Za kilka godzin będzie już zupełnie ciemno, poza tym na dworze robiło się coraz chłodniej i zaczął padać deszcz.

Gdzie się podział Torstein? Już dawno powinien być w domu. Czyżby mu się coś przytrafiło? Może przygniotło go drzewo? A może zranił się siekierą? Takie rzeczy się zdarzały, słyszała o podobnych wypadkach.

Nagle wzdrygnęła się, bo coś uderzyło o ścianę domu. Wstała i wyszła na próg. Uznała, że musi być jakieś naturalne wytłumaczenie tego, co się wokół niej działo.

Zeszła po schodkach i zobaczyła, że o ścianę biją gałęzie rosnącego na podwórzu drzewa. A więc to zwróciło jej uwagę.

Już miała wrócić do środka, gdy zauważyła, że drzwi od piwniczki ziemnej są otwarte, choć zwykle były zamknięte. Torstein zawsze chodził tam sam, jej nigdy na to nie pozwalał.

Pomyślała, że musi je zamknąć, żeby znajdujące się w piwniczce zapasy nie skusiły jakiegoś zwierzęcia. Ruszyła biegiem przez podwórze. Wiatr targał jej włosy, deszcz siekł ją w twarz. Cały czas martwiła się o Torsteina. Dlaczego jeszcze nie wrócił?

Stała przed drzwiami, chwilę się zawahała, po czym weszła do środka. Poczowała chłodny powiew na twarzy. Podniosła głowę i zobaczyła wiszące na belkach kiełbasy i szynki. Na półkach w rogu stało piwo i soki. W głębi dostrzegła jeszcze jedne drzwi. Poczowała, że

marznie, ale ciekawość zwyciężyła. Podeszła do drzwi, chwyciła za klamkę i zaczęła powoli je otwierać. Nagle krzyknęła przerażona. W pomieszczeniu za drzwiami leżały stosy zwierzęcych kości. Co to mogło znaczyć? Czyżby to było miejsce ofiarne? Słyszała o Finach, którzy składali zwierzęta w ofierze leśnym bogom. Najwyraźniej Torstein też to robił. To było jedyne wytłumaczenie.

Wzdrygnęła się, gdy poczuła, że ktoś za nią stoi. Odwróciła się i zobaczyła Torsteina. Wyglądał na zagniewanego.

- Co ty tu robisz?! - krzyknął. Pociągnął ją za sobą na zewnątrz. - Wiesz, co zrobiłaś?! Elise pokręciła głową i przełknęła ślinę.

- Nie - przyznała załęknięta.

- To magiczne miejsce. Tylko ja mogę tam wejść. Każdy inny ściągnie na siebie nieszczęście. Dlaczego tam weszłaś?

Patrzył na nią złym wzrokiem. Elise nigdy dotąd nie widziała go tak wściekłego.

- Ja... - zaczęła. - Drzwi były otwarte...

- Kłamiesz! Te drzwi są zawsze zamknięte!

- Nie, naprawdę były otwarte. Chciałam je zamknąć, ale z ciekawości weszłam do środka i... i zobaczyłam te drugie drzwi... - Rozłożyła ręce, jakby nagle zabrakło jej słów.

- Nie wierzę ci. Gdzie znalazłaś klucze?

- Klucze? Powiedziałałam ci przecież, że drzwi były otwarte.

- Nie, one są zawsze zamknięte! - Nagle sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pęk kluczy. Przyglądał się im zdziwiony. - Mam klucze. A byłem pewien, że mi je zabrałaś - rzucił cicho. Złość nagle mu minęła.

- Nie zabrałam ci kluczy. Mówiłam już, że drzwi były otwarte.

- Musiałem zapomnieć je zamknąć. Jestem pewien, że... - urwał i spojrzał na nią. - To, co przed chwilą mówiłem, to prawda. To niebezpieczne miejsce. Może ci się przydarzyć coś złego - zaniepokoił się szczerze.

Elise marzła, a zarazem była spocona. Na dworze szalała burza i wiał ostry wiatr. Z daleka dochodziły ich odgłosy grzmotów. Ruszyła biegiem do domu, a Torstein za nią. Weszli do środka i zamknęli drzwi.

Elise zdjęła mokrą sukienkę, stanęła przed paleniskiem i wyciągnęła ręce, żeby się ogrzać. Drżała z zimna i ze strachu.

Torstein ściągnął przemoczone ubranie, sweter i spodnie. Po twarzy spływały mu strużki deszczu. Przeciągnął dłonią po włosach.

- To straszne. Wiem, że nie powinienem uprawiać magii, ale byłem jak opętany. Iver zawsze bardzo się tym podniecał. Ja zabijałem zwierzęta, a on je sprawiał. Potem wrzucaliśmy truchła do piwniczki. Obiecaliśmy sobie, że nikomu o tym nie powiemy. Obawiam się, że ostatnie zaklęcie, które wypowiedziałem, sprowadziło na Ivera nieszczęście. Pewnie to moja wina, że on nie żyje.

Usiadł na ławie przygnębiony i patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

Elise nie wiedziała, co powiedzieć. Czy to dlatego Iver stawał się coraz bardziej szalony? Dlatego wszystko tak się skończyło? A teraz działy się te dziwne rzeczy? Przecież leżał w ziemi niedaleko okna, które uderzało o ścianę domu.

- Boję się - przyznała.

Usiadła obok Torsteina i przytuliła się do niego. - I słusznie. Rzuciliśmy wyzwanie niebezpiecznym siłom.

- O czym ty mówisz?

- O złych mocach. Słyszałem kiedyś opowieść o chłopcu, który zszedł do podobnej piwnicy. Były tam truchła zwierząt i magiczna księga z różnymi zaklęciami. Zmarł następnego dnia, przygnieciony przez drzewo. Czarownik go ostrzegał, ale on nie chciał go słuchać.

- Jesteś czarownikiem? - spytała Elise, kiedy ich spojrzenia się spotkały.

- Tak - potwierdził. - Ojciec mnie wszystkiego nauczył. Był znanym czarownikiem. Ludzie go szanowali, choć w niektórych wzbudzał lęk. Ja też się go bałem, ale inaczej niż inni. Kiedy urodził się Iver, ojciec oszalał i pewnego dnia powiesił się w szopie na narzędzia.

- To straszne. Powiesił się tutaj?

- Tak, to był dom mojego ojca. Przejąłem go po jego śmierci.

- A twoja matka?

- Zmarła młodo. Po urodzeniu Ivera dostała wysokiej gorączki. Ojciec robił wszystko, żeby ją ratować. Wypowiadał zaklęcia, parzył zioła, modlił się, ale nic nie pomogło. Postanowił upuścić jej krew i wtedy coś poszło nie tak. Matka się wykrwawiła.

Elise poczuła, że robi jej się niedobrze. - Twój ojciec rzeczywiście był szalony. Powinien był wezwać do niej doktora. Torstein roześmiał się smutno.

- Doktora? Tu nie ma doktora. W lesie każdy musi radzić sobie sam.

- Jest aż tak źle?

- Tak. Zrobię wszystko, żeby cię chronić, Elise - obiecał poważnie.

- Nie rozumiem.

- Potrzebujesz kogoś, kto by cię chronił. Najpierw jednak musimy się ogrzać i przebrać. A potem wyjdziemy na podwórze i znajdziemy duży kamień, na którym będziesz mogła stanąć. Wtedy wzniosę wokół ciebie płot, żeby zło nie mogło cię dosięgnąć.

- Co takiego...? - spytała niepewnie. - Ale przecież...

- Musisz mnie słuchać. I robić, co ci każę. To ważne.

- Rozumiem - szepnęła.

- To dobrze.

Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Oparła głowę na jego rękę i poczuła, że chce jej się spać. Ogień grzał przyjemnie, oczy same jej się zamykały. Jak dobrze i bezpiecznie! Jeszcze przed chwilą była przerażona, a teraz wiedziała, że Torstein zadba o wszystko. Był przecież czarownikiem.

Rozdział 12

Hannele patrzyła na rodziców, którzy siedzieli na łóżku i uśmiechali się do niej.

- Co wy tu robicie? - spytała.

- Wróciliśmy, Hannele. Pragniemy się tu osiedlić. Wiesz przecież, że to nasz dom. Hannele pokręciła głową.

- Nie możecie. Nie chcę was tutaj. Teraz ja tu mieszkam. Wyjechaliście stąd dawno temu.

Ojciec roześmiał się głośno. - Ty nie masz nic do powiedzenia, Hannele.

- Wszystko straciliśmy. Ramon nas oszukał - odezwała się matka. - Musieliśmy uciekać, ale zostaliśmy zatrzymani. Na szczęście strażnik nam uwierzył. Kiedy mu o wszystkim opowiedzieliśmy, zgodził się nam pomóc. Teraz już jesteśmy bezpieczni. Niestety, Ramonowi też udało się uciec.

- Wziął moje dziecko - rzuciła Hannele łamiącym się głosem.

- Twoje dziecko? Urodziłaś dziecko? - zdziwiła się matka.

- Tak, córeczkę, ale Ramon i jego żona zabrali mi ją i wyjechali do Ameryki.

- To straszne! - wykrzyknął ojciec i spojrzał na nią ze współczuciem.

- A potem zakochałam się w mężczyźnie, który nagle zniknął.

- Zakochałaś się? W kim? - dopytywała matka.

- W Martinie. Coś musiało mu się przytrafić. Boję się, że utonął w jeziorze.

Hannele zakryła twarz rękami i zaczęła płakać.

- Co to za Martin?

- Pracował dla Ramona. Bardzo się kochaliśmy, ale ni stąd, ni zowąd zniknął.

Ojciec zamyślił się, wstał i zaczął krążyć po izbie.

- Mam wrażenie, że się mylisz, Hannele - odezwał się wreszcie. - Po drodze tutaj minęliśmy na ścieżce młodego mężczyznę. Pozdrowił nas i spytał, dokąd idziemy. A potem powiedział, że wraca do domu. Przypuszczam, że to był on. W tych okolicach rzadko spotyka się kogoś w lesie.

Hannele drgnęła; czuła, jak serce jej przyśpieszyło.

- Mój Martin? Mylisz się, ojciec.

- Nie, raczej nie. Stwierdził, że nic go już tu nie trzyma, że tutaj straszy i że tęskni za swoją rodziną. On nie wróci, Hannele.

Dziewczyna wyminęła go, rzuciła się na łóżko i rozszlochała. Nie mogła w to uwierzyć. Martin opuścił ją bez słowa! A ona obawiała się, że nie żyje, że pochłonęły go wody jeziora. Czyżby ojciec z niej sobie żartował? Czy może chciał sprawić jej przykrość?

Matka podeszła do niej i pogładziła ją po włosach. Hannele usiadła na łóżku.

- Ojciec nie mówi prawdy. Jestem tego pewna! Matka westchnęła.

- Niestety, wygląda na to, że mężczyzna, którego spotkaliśmy, to rzeczywiście Martin. Wysoki, ciemnowłosy, o ile dobrze pamiętam, w brązowych sukiennych spodniach i niebieskiej koszuli.

Hannele powoli pokiwała głową.

- Tak, to on...

Nie pisnęła o tym, co się zdarzyło nad jeziorem. Postanowiła zachować to dla siebie.

- Nie opuścimy cię, Hannele - zapewniła ją matka. - Znow jesteśmy razem i niech już tak zostanie.

- Nie wiem, czy tego chcę. Zamknęliście mnie w piwnicy i...

- To nie my, tylko Ramon - przerwała jej matka.

- Niemożliwe. On mnie uratował.

- Nie mam wpływu na to, w co chcesz wierzyć. Pamiętaj, że zabrał ci dziecko.

- To prawda, ale...

- Nie ma żadnego ale. Tak po prostu było. Hannele się zamyśliła. Cały czas widziała przed sobą Martina.

- Kocham Martina - odezwała się nagle.

- Tak, ale to minie. Zawsze tak jest. Zapomnisz, moje dziecko.

Hannele podniosła głowę i spojrzała na matkę zdziwiona.

- Tak?

- No cóż, wydaje mi się, że nie spotkałaś jeszcze tego właściwego. Znałaś mężczyzn, którzy tak naprawdę nie byli dla ciebie. W głębi duszy dobrze to wiesz. Kiedy pojawi się ten właściwy, pokochasz go i nigdy o nim nie zapomnisz. Pozostanie w twoim sercu na zawsze.

Hannele westchnęła.

- Mylisz się, matko. Jestem załamana.

- Jutro poczujesz się lepiej. Poza tym skoro odszedł bez słowa, to chyba nie jest wart twoich łez?

- To prawda, ale... ale to nie jest takie proste, jak ci się wydaje, matko.

- Zobaczymy, czas pokaże. A teraz biorę się do roboty. Trzeba wyszorować podłogi. Strasznie tu brudno.

Hannele się zawstydziała. Powinna była posprzątać w domu, ale tyle się ostatnio wydarzyło.

- Może jeszcze wróci - rzuciła z nadzieją.

Znów zobaczyła przed oczami Martina. Widziała, jak idzie do niej przez podwórze, a ona wybiega mu na spotkanie i pada mu w ramiona. Pomyślała, że nie wolno jej zwątpić.

- Mam nadzieję, że odzyskasz dziecko - zwróciła się do niej matka.

- Przykro mi słyszeć, że...

- Też mam taką nadzieję, matko - weszła jej w słowo Hannele.

Nie czuła się na siłach rozmawiać o małej Sigrid.

- Biorę się do sprzątanía. A potem przygotuję coś do jedzenia.

- Do jedzenia? - zdziwiła się Hannele. - Spizarnia jest pusta.

- Przywieźliśmy coś ze sobą - uspokoiła ją matka.

- Gdzie byliście? - zaciekawiała się Hannele.

- W różnych miejscach. Przez jakiś czas mieszkaliśmy u przyjaciół.

Dali nam mięso z jelenia, poza tym mamy jeszcze trochę pieniędzy. Nie jesteśmy biedakami.

Przynajmniej jakaś dobra wiadomość, pomyślała Hannele.

- Kto zabił tego starszego mężczyznę w szopie? - spytała nagle.

- Ramon. A któżby inny?

- Nie mogę uwierzyć, że się do tego posunął.

- Myśl, co chcesz, ale to nie my go zabiliśmy.

- No cóż - westchnęła znów Hannele.

Nie miała siły wracać do przeszłości. To wszystko wydawało się tak odległe.

Znowu zaczęła myśleć o Martinie. Wiedziała, iż nie zazna spokoju, dopóki się nie przekona, że faktycznie ją porzucił. Nagle wstała i oznajmiła:

- Spróbuję znaleźć Martina.

- Dobrze - skwitowała matka.

Hannele znalazła latarnię i przymocowała ją do siodła. Nie oglądając się za siebie, wsiadła na konia i ruszyła galopem w stronę lasu. Drogę do domu Martina znała na pamięć.

Jechała już kilka godzin, kiedy wreszcie go spostrzegła. Szedł przed siebie ścieżką. Sprawiał wrażenie zmęczonego.

- Martin!

Podjechała do niego, a on podniósł głowę i spojrzał na nią pustym wzrokiem. Wyglądał jak chory stary człowiek, bez woli do życia.

Zdjęła latarnię i zeskoczyła z konia.

- Martinie, co ci jest? - spytała.

- Wszystko nie tak, Hannele. Muszę odejść - wyznał, nie patrząc na nią.

- Co się stało?

- Dostałem ostrzeżenie. Nie możemy być razem. Dlatego wracam do domu. Już nigdy się nie zobaczymy.

Hannele położyła dłoń na jego rękę.

- Jakie ostrzeżenie, Martinie?

- Zobaczyłem czarnego ptaka. Kruka. Podszedł do mnie i wtedy... Nie, nie mogę ci powiedzieć. Nie mogę! - jęknął.

Hannele zadrżała.

- Widziałeś kruka? I co z tego?

- Muszę... Muszę wracać do domu. Umrę, jeśli nadal będziemy razem. A ja nie chcę umierać. Ten mężczyzna mnie przeraził. Stukał laską w podłogę, groził mi... Między nami wszystko skończone, Hannele.

- Popatrzył na nią smutno.

- Nie pozwól mu się zastraszyć. On nie istnieje naprawdę. Wiesz przecież, że ja też go spotkałam. Pamiętasz?

- Zabierz rękę! - zażądał nagle Martin stanowczym głosem.

Hannele cofnęła dłoń.

- Wróc ze mną do domu, proszę.

- Nie. Nie chcę dłużej żyć w grzechu. Znajdę dziewczynę, którą będę mógł poślubić. Żyliśmy w grzechu i zniszczyliśmy wszystko, co piękne. To już nie wróci.

Hannele pomyślała, że Martin dziwnie mówi. Jakby śpiewał, jakby był w transie. Czyżby ktoś rzucił na niego czary?

- Nie wierzę ci, Martinie. Łączy nas miłość, dobrze o tym wiesz. Wróć ze mną do domu. Coś ci się stało. Nie jesteś sobą.

Martin pokręcił głową i cofnął się o krok.

- Nie, nie jest tak, jak myślisz. To poważna sprawa. Nie sprowadzaj na mnie zguby. Odchodzę, Hannele, i nie próbuj mnie powstrzymać.

Jego głos zabrzmiał niemal groźnie. Hannele widziała, że mężczyzna, który stał przed nią, nie był jej Martinem. To był ktoś obcy. A jednak postanowiła jeszcze o niego walczyć.

- Proszę, kochanie. Chodź ze mną. Coś się z tobą stało, coś jest nie tak.

- Odejdź! - warknął. - Nie chcę cię więcej widzieć. Oszukałaś mnie, skusiłaś swoim ponętnym ciałem. A ja byłem głupcem i dałem ci się zwieść. Nie szukaj mnie, nie przychodź do mnie do domu! Zostaw mnie w spokoju!

- Milcz, Martinie. Nie mam siły tego słuchać. Idź, obiecuję dać ci spokój - odparła cicho załamana.

- Dobrze - powiedział i odszedł. Od niej i z jej życia.

Rozdział 13

Anjalan był zadowolony. Udało mu się przechytryć i obezwładnić marynarza. Jego ciało spoczywało już na dnie morza. Na szczęście najpierw zabrał mu klucze i szybko uwolnił się z kajdanek. Teraz był w drodze do swojej nimfy.

Pchnął drzwi na korytarz, gdzie, jak sądził, jest jej kajuta. Zatrzymał się przed drzwiami, wyprostował i zapukał ostrożnie. Usłyszał jakiś szmer i ścisnął mocniej nóż w rękę. Na szczęście nadal miał go przy sobie. Schował go tak sprytnie w fałdach koszuli, że nikt tego nie zauważył. Teraz mu się przyda.

- Kto tam? - odezwała się Amalie. Odchrząknął, oczyścił gardło.

- Marynarz.

Próbował naśladować dość wysoki głos marynarza.

- Nie jesteś marynarzem. Wiem, że to ty, Anjalandzie. Anjalan zaklął.

- Wpuść mnie, Amalie. Obiecuję, że będę dla ciebie dobry.

- Nie wierzę ci. Idź stąd. Nigdy cię nie wpuszczę.

Tego się nie spodziewał. Najchętniej zacząłby walić w drzwi kajuty, ale się opanował i powiedział spokojnym łagodnym głosem:

- No cóż. W takim razie zobaczymy się za kilka godzin.

Sam się sobie dziwił, że potrafił być taki uprzejmy. Zwykle zachowywał się inaczej. Ostro, buńczucznie, złośliwie. Rodzice też go tak traktowali. Bili go za byle co. Nigdy nie obdarzyli dobrym słowem. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek się do niego uśmiechali. W domu była bieda, nie było radości.

Pokręcił głową i odszedł korytarzem. Musiał poczekać do rana. Miał tylko nadzieję, że na nikogo się nie natknie.

Amalie przeciągnęła się na łóżku. W jej śnie pojawili się Ole i dzieci. Byli szczęśliwi. Śniło jej się też, że urodziła dziewczynkę, i teraz zastanawiała się, czy faktycznie tak będzie.

Usiadła i ziewnęła. Dobrze jej się spało na wygodnym pościeliu. Przypomniała sobie, że w środku nocy obudził ją Anjalan. Naprawdę sądził, że ją przechytry? Nagle pomyślała o marynarzu. Co się z nim stało? Czyżby Anjalan go zabił?

Wstała, zdjęła za dużą, mocno wygniecioną nocną koszulę i usiadła przed lustrem. Było tak zniszczone, że ledwie widziała w nim swoją twarz. Zaczęła szcztokować zmierzwiłone włosy, ale niewiele mogła z nimi zrobić.

Znów powędrowała myślami do Olego. Tęskniła za nim, za jego pocałunkami i pieszczotami. Chciała poczuć jego ciepłe dłonie na swoim ciele, zobaczyć jego oczy, które mówiły jej, że jest dla niego wszystkim. Ale wiedziała, że nieprędko to nastąpi. Najpierw statek musi przybić do portu w Londynie, dopiero potem będzie mogła myśleć o powrocie do domu. Zastanawiała się, jak długo przyjdzie jej czekać na najbliższy statek do Norwegii. Postanowiła zapytać o to kapitana.

Ułożyła włosy, ostrożnie włożyła suknię i jeszcze raz spojrzała w lustro. Wyglądała lepiej, lecz nadal była blada.

Znowu pomyślała o Anjalanie. Musi powiadomić kapitana, że on tu gdzieś jest, ale jak ma to zrobić? Dziękowała Bogu, że drzwi były zamknięte. I pozostaną zamknięte, aż ktoś zacznie się zastanawiać, co się z nią dzieje i czy przypadkiem nie potrzebuje pomocy. Kapitan albo doktor. Niech któryś z nich tu przyjdzie i mnie uratuje! - modliła się w duchu.

Usłyszała pukanie do drzwi i stłumiła jęk. Była pewna, że to Anjalan wrócił.

- Tu marynarz, który się panią opiekuje. Czy wszystko w porządku? - dobiegł ją jego głos.

- Kłamiesz. Wiem, że to ty, Anjalan. Idź stąd.

- Myli się pani.

Głos męczyzny był nadal uprzejmy, ale nie miała wątpliwości, że to Anjalan.

Po chwili rozległo się walenie do drzwi. Amalie zadrzała. Nie chciała znów trafić w jego łapy.

- Otwieraj! Wiem, że tam jesteś! Wyważę drzwi, jeśli natychmiast nie otworzysz! - zagroził.

Milczała. Jeżeli pozwoli mu krzyczeć, ktoś zapewne wkrótce go usłyszy. I rzeczywiście, po chwili odezwał się czyjś niezadowolony głos:

- Chcemy spać! Nie dociera do pana, że ta kobieta nie życzy sobie z panem rozmawiać? Proszę odejść albo zawiadomię kapitana!

Anjalan ucichł i coś mruknął. Gdzieś trzasnęły drzwi, a potem dobiegł ją odgłos oddalających się kroków.

Siedziała na łóżku i nasłuchiwała. Drżała ze strachu i zdenerwowania. Zastanawiała się, czy Anjalan nadal jest za drzwiami, czy już sobie poszedł. Postanowiła jeszcze poczekać. Może wkrótce

zjawi się ktoś ze śniadaniem? Odczekała dłuższą chwilę, po czym wstała i podeszła do drzwi. Na zewnątrz panowała cisza, przekręciła więc ostrożnie klucz i wyjrzała na korytarz. Anjalana nie było! Wyszła i pobiegła do niewielkiego pomieszczenia, gdzie doktor zwykle jadał posiłki. Rzeczywiście, siedział tam i jadł, pochłonięty rozmową z młodym mężczyzną. Podeszła do nich i odchrząknęła.

Doktor odwrócił się i uśmiechnął szeroko.

- Pani Hammes! Jak miło, że pani do nas zaszła - przywitał ją uprzejmie.

- Muszę z panem porozmawiać - powiedziała zdyszana.

- Proszę usiąść. - Doktor wskazał jej wolne krzesło. Amalie usiadła i rzuciła szybko:

- Anjalan był w nocy pod moimi drzwiami. Zniknął natomiast marynarz. Boję się, że mogło mu się stać coś złego.

Doktor się zaniepokoił.

- Zawiadomię kapitana. A panią zaopiekuje się w tym czasie pan Arnesen. Może się pani czuć bezpieczna.

- Słyszałem, co się pani przytrafiło. To musiało być straszne - zwrócił się do niej mężczyzna, sięgając po bułeczkę.

Amalie skinęła głową i poczuła, że leci jej ślinka.

- Jestem okropnie głodna - przyznała.

- Proszę się częstować.

- Bardzo dziękuję - odparła i rozejrzała się, czy Anjalan nie odważył się tu przyjść.

Pan Arnesen był dość tęgim, dobrze zbudowanym mężczyzną po dwudziestce. Miał wąskie brązowe oczy i ciemne krzaczaste brwi. Wydawał się bardzo sympatyczny.

- To niewiarygodne, że w nocy szalał sztorm. Dzisiaj morze jest gładkie jak lustro. Ale chciałbym już dotrzeć na miejsce. Dobrze będzie znów stanąć na stałym lądzie.

- Ja też chciałabym jak najszybciej znaleźć się w domu - westchnęła Amalie.

- Doskonale panią rozumiem. Ten statek wraca do Kopenhagi dopiero za trzy tygodnie, pewnie jednak znajdzie się jakiś inny, wcześniejszy.

- Za trzy tygodnie?! To niemożliwe! - wykrzyknęła Amalie.

Pan Arnesen na pewno się mylił. Nie mogła czekać tak długo. Poza tym jak przetrwać trzy tygodnie bez pieniędzy? Na razie jednak postanowiła o tym nie myśleć. Nadal przecież byli jeszcze w drodze.

Zerknęła łakomie na bułeczki i ser; musiała się powstrzymać, żeby się na nie rzucić. Jadła powoli i popijała kawą, którą pan Arnesen nalał jej do filiżanki.

Po chwili do ich stolika podszedł doktor w towarzystwie kapitana.

- Kazałem ludziom szukać Anjalana. Musimy go złapać. Szukamy też marynarza z naszej załogi. To był silny rosły mężczyzna. Nie rozumiem, jak Anjalan mógł go pokonać.

- Bardzo sprawnie posługuje się nożem - wyjaśniła Amalie.

- Niestety, na to wygląda. Proszę się stąd nie ruszać. I nie wolno pani zostawać samej.

- Dobrze.

Amalie doceniała uprzejmość i troskę kapitana. Postanowiła mu się odwdziaczyć, ale mogła to zrobić dopiero po powrocie do domu.

Kapitan podrapał się po brodzie, wyraźnie zmartwiony.

- Myślę, że będzie pani bezpieczniejsza w mojej kajucie. Odstąpię pani część pomieszczenia. No i wyznaczę ludzi, którzy będą panią chronić.

Amalie uznała to za szczodłą propozycję.

- Bardzo dziękuję, ale będę mogła panu zapłacić dopiero, gdy wrócę do domu.

- Proszę się tym nie przejmować. Nie oczekuję od pani żadnych pieniędzy. Zastanawiam się tylko, co pani robi, kiedy dotrzemy do Londynu? Zna pani tam kogoś?

- Niestety, nie.

- No cóż, zanim wpłyniemy do portu, musimy znaleźć jakieś rozwiązanie - dodał.

Uklonił się i odszedł. Wzywały go obowiązki.

Doktor wrócił na swoje miejsce przy stoliku i nalał sobie kawy.

- Mam nadzieję, że ten łajdak zostanie schwytany i unieszkodliwiony raz na zawsze. Jak można chodzić z nożem i zagrażać ludziom?

- Jeśli leży gdzieś związany, z zakneblowanymi ustami, może nie być łatwo go znaleźć - zauważył pan Arnesen.

Podniósł głowę i zobaczył idącą w ich stronę młodą kobietę. Pomachał jej ręką i wstał od stolika.

Amalie zwróciła uwagę na szarą suknię kobiety i zaczęła się zastanawiać, kim ona jest. Pan Arnesen podszedł do niej i zaczął z nią rozmawiać.

Tymczasem doktor skończył pić kawę.

- Dobrze będzie pobyc trochę w domu przed następną podróżą - powiedział.

- A dokąd się pan wybiera?

- Do Irlandii. To piękny kraj. Spojrzała na niego z ciekawością.

- Jest tam równie ładnie jak w Londynie?

- Irlandia to coś zupełnie innego. To zielona wyspa, dzikie krajobrazy, ale i duże gospodarstwa. Powinna pani kiedyś się tam wybrać.

- Nie sądzę - odparła z uśmiechem.

- Nigdy nie wiadomo, co życie ma dla nas w zanadrzu.

- Chcę wrócić do męża i dzieci. A w Fińskim Lesie też jest pięknie.

Doktor pokiwał głową.

- Słyszałem, że na północy są piękne lasy.

- To prawda - przyznała Amalie.

Piła kawę i obserwowała spacerujących po pokładzie pasażerów.

- Dużo ludzi płynie tym statkiem - stwierdziła.

- Tak, chyba nawet nieco za dużo.

Przy stoliku zapadło milczenie. Nagle dobiegły ich jakieś krzyki. Amalie odwróciła głowę i zrobiła wielkie oczy: trzech marynarzy goniło Anjalana, który wymachiwał nożem i głośno przeklinał.

Ludzie zatrzymywali się i patrzyli za nimi przerażeni. Raptem Anjalan łypnął dziko na Amalie. Pomyślała, że zaraz ją zaatakuje, ale on pobiegł dalej, nawet się nie zatrzymując. Po chwili zniknął za drzwiami, a potem zrobiło się cicho.

Amalie spojrzała na doktora.

- Tym razem na pewno go złapią - zapewnił ją starszy pan.

- Na to wygląda. Jest zbiegiem z Finlandii.

- To go tam odeślą.

Do ich stolika podszedł kapitan i stanął przed Amalie.

- Został pojmany. Już nie musi pani się go obawiać - poinformował.

Oddechnęła z ulgą.

- Najwyższa pora - rzucił doktor i wytarł usta serwetką. - Zejdę do kajuty - dodał. - Proszę mi wybaczyć. Mam nadzieję, że zobaczymy się przy obiedzie

- zwrócił się do Amalie.

Skłonił się i odszedł. Kapitan podał jej rękę i pomógł wstać. - Poprosiłem, żeby przeniesiono pani rzeczy do mojej kajuty.

- Bardzo dziękuję. Jest pan niezmiernie troskliwy.

- Cóż, nie co dzień ma się okazję uratować kobietę w potrzebie.

- Mieszka pan w Londynie? - spytała Amalie w drodze do kajuty.

- Tak, kiedy nie pływam. Teraz będę miał trzy tygodnie wolnego. Moja żona i dzieci mieszkają w Bayswater, niedaleko Hyde Parku.

- Hyde Park?

- Tak, to jeden z największych londyńskich parków - wyjaśnił.

Otworzył drzwi i wyszli na niewielki korytarz. Po chwili zatrzymał się na widok idącej naprzeciw nich kobiety.

- Witam, pani Lanche. Dobrze pani spała? - zagadnął.

- Niestety, nie, kapitanie. Pański statek się rozsypuje!

Kobieta mówiła coś jeszcze, a kapitan grzecznie słuchał. Po chwili pożegnał ją i zwrócił się z uśmiechem do Amalie:

- Od lat ze mną pływa i zawsze powtarza to samo. Amalie też się uśmiechnęła. Zastanawiała się, co ją czeka w Londynie. Gdzie się podzieje, gdzie zamieszka? Kapitan wskazał jej otwarte drzwi.

- Proszę wejść - powiedział.

Weszła do skromnie umeblowanej kajuty, ale i tak bardziej eleganckiej niż te, które do tej pory widziała.

- A teraz pokażę pani sypialnię.

Było to pomieszczenie za kotarą, niewielkie, lecz przyjemne i dobrze oświetlone.

- Zostawiam panią samą. Proszę się rozgościć. Za chwilę zjawi się tu dziewczyna, która będzie pani towarzyszyć. Niech pani wypoczywa i cieszy się ostatnim etapem podróży - dodał.

Amalie podziękowała mu po raz kolejny. Kiedy została sama, usiadła na łóżku, pogładziła kołdrę, a potem się położyła. Statek znów zaczął kołysać. Miała nadzieję, że nie zbliżał się kolejny sztorm.

Zamknęła oczy i powędrowała myślami do swoich bliskich.

Rozdział 14

Elise siedziała na łóżku i przecierała oczy. Wydawało jej się, że coś słyszała. Czy ktoś tu był? Torstein spojrzał na nią zaspany.

- Co ty robisz?

- Nie słyszałeś kroków?

- Nie, niczego nie słyszałem. Połóż się i śpij. Jest wcześnie, nie musimy jeszcze wstawać.

Położyła się i przytuliła do niego.

- Miałam wrażenie, że ktoś chodzi. Naprawdę.

- Musiało ci się coś przyśnić. A teraz śpijmy. Potrzebuję snu. Chronienie ciebie jest męczące - mruknął.

Potańczał oczy i ziewnął głośno. Elise spojrzała na niego zdziwiona.

- Nadal mnie chronisz?

Poprzedniego dnia Torstein kazał jej wejść na duży kamień, a potem chodził wokół niego i szeptał jakieś modły. Minęło sporo czasu, zanim uznał, że w końcu jest bezpieczna. Teraz popatrzył na nią uważnie:

- Nie musisz wiedzieć wszystkiego, co robię, ale powiedz, czy nie czujesz się źle na duszy?

- Prawdę mówiąc, nie.

- Wkrótce pewnie się poczujesz. Zamknij oczy i postaraj się odprężyć. Spróbuję ponownie.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała.

- To tajemnica. Nie mogę ci jej zdradzić.

Elise zamknęła oczy. Wiedziała, że jak on coś sobie postanowi, trudno go od tego odwieść. Znała go już na tyle. Nagle poczuła się dziwnie. Przestraszyła się i spojrzała na niego. Leżał teraz na boku, odwrócony do niej plecami. Może jednak coś w tym było? - pomyślała.

Przeciągnęła dłońią po jego plecach i powiedziała:

- Teraz wiem, że mówiłeś prawdę. Czuję się tak dziwnie lekka.

Torstein odwrócił się i położył rękę na jej czole.

- A jednak nadal coś jest nie tak. Wyczuwam to każdym nerwem. Co tu się wydarzyło? - zapytał. - Przyglądał jej się ze zmarszczonym czołem. Elise przełknęła ślinę przejęta jak dziecko. - Nosisz w sobie jakąś tajemnicę. Co cię tak dręczy?

Torstein patrzył teraz w sufit. Wyglądał, jakby był gdzieś daleko, we własnym świecie.

- Nic mnie nie dręczy - zapewniła Elise. Starła się odprężyć, ale lekkość, którą jeszcze przed chwilą czuła, zniknęła bez śladu.

- Co zrobiłaś, że nosisz w sercu taki ciężar? Elise nie rozpoznawała jego głosu; jakby to nie on mówił, tylko ktoś inny.

- Torstein, co z tobą?

- Ja nie jestem nim, i ty to wiesz. Co zrobiłaś? - Nic.

- Jesteś morderczynią. Oszustką. Wynoś się z mojego domu!

W jego głosie słychać było nienawiść. Elise wstała z łóżka i podeszła do okna. Torstein leżał nieruchomo wciąż wpatrzony w sufit.

- Idź stąd i już nigdy nie wracaj. Jesteś morderczynią! - krzyczał.

Elise przeżegnała się przerażona.

- Wiesz, co zrobiłaś. Znam cię. Twoje serce i twoje myśli stoją przede mną otworem. Grób! Odwróć się, a go zobaczysz.

Elise odwróciła się i wyjrzała przez okno. Przed nią było miejsce, gdzie pochowała Ivera. Znów się przeżegnała. Modliła się, żeby to wszystko okazało się jedynie złym snem, koszmarem. Ale to działo się naprawdę.

Znów spojrzała na Torsteina. Usiadł na łóżku i przeciągnął ręką po włosach.

- Nie chcę cię więcej widzieć. Robi mi się niedobrze na twój widok. Idź albo pójdę po siekiere i rozwalę ci łeb! Wybieraj!

Elise drżała, nogi miała jak z waty.

- Nigdzie nie pójdę. Mylisz się. Nie zrobiłam niczego złego. Kocham cię.

- Kochasz mnie? Ty nie potrafisz kochać. Jesteś dziwką! - parsknął.

Mówiąc to, cały czas patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Nagle wstał i odwrócił się do niej. Ręce miał opuszczone wzdłuż boków, wyglądał jak kamienny posąg.

- Nie jestem dziwką - zapewniła Elise, rozpaczliwie usiłując do niego dotrzeć. - Zapomniałeś, jak wiele nas łączy? Nie pamiętasz, że my...

Nagle Torstein zamrugał i spytał zdumiony: - Co się stało? Nie pamiętam, żebym wstawał z łóżka.

Elise podbiegła i ukucnęła obok niego.

- Nie pamiętasz?

- Nie... Jesteś taka blada. Coś się stało?

- Nie, nic się nie stało - skłamała.

W głębi duszy cieszyła się tak bardzo, że chciałaby głośno krzyknąć. Na szczęście Torstein rzeczywiście chyba nic nie pamiętał.

- Tak dziwnie się czuję. Kręci mi się w głowie. Długo spałem?

- Już ranek.

Torstein najwyraźniej jeszcze nie do końca się obudził, postanowiła więc to wykorzystać.

- Chodź, zjemy razem śniadanie. Na dworze jest tak pięknie. Słyszysz, jak ptaki śpiewają?

Podrapał się po głowie.

- Tak, słyszę. Ale od kiedy ty zwracasz uwagę na ptaki?

- Zawsze zwracałam - odpowiedziała Elise spokojnie.

Sięgnęła po wiadro, nalała wody do miski i zaczęła się myć. Woda była lodowata, ale przynajmniej zmyła z niej resztki snu. I dobrze, bo musiała teraz mieć się na baczności. W każdej chwili przecież Torstein mógł sobie przypomnieć, co się z nim działo.

On tymczasem ubrał się i wyszedł do kuchni. Elise pośpiesznie włożyła sukienkę. Właściwie powinna była ją uprać, ale uznała, że może w niej jeszcze pochodzić jeden dzień. Wieczorem dokończy poprawiać suknię, którą przyniósł jej Torstein. Była niemodna, prawdopodobnie dostał ją od jakiejś starszej kobiety.

Weszła do kuchni, nalała wody do kociołka i powiesiła go nad paleniskiem. Rozpaliła w piecu, aż buchnęły płomienie. Zerknęła na Torsteina, który stał i patrzył przez okno. Zaniepokojona, spytała:

- Torstein?

- Tak? O co chodzi?

- Co chcesz na śniadanie?

- Nie jestem głodny.

- Jak to...?

- Nie wiem dlaczego. Źle się czuję... - Nagle urwał, zasłonił usta dłonią i wybiegł z kuchni.

Pobiegła za nim i zobaczyła, że wymiotuje na trawę.

- Co się ze mną dzieje? - Spojrzał na nią zdziwiony.

- Nie wiem.

Domyślała się jednak, że to skutek tego, co się wydarzyło w nocy. I nie była to chyba jakaś fizyczna dolegliwość. Zerknęła na piwniczkę ziemną i zauważyła, że drzwi znów są otwarte.

- Spójrz, Torstein. Drzwi do piwniczki znowu się otworzyły.

- To czary. Obawiam się, że zbudziłaś złe moce. Nie wiem, czy moja ochrona wystarczy.

Teraz ona się zaniepokoiła. Torstein przestraszył ją nie na żarty.

- Musisz zamknąć drzwi - szepnęła.

- Nie, to na nic. Po co mam je zamykać, skoro za chwilę znów się otworzą?

- Przynajmniej spróbuj. Pokręcił głową.

- Przestań, to nic nie da.

- Dobrze, więc ja pójdę i je zamknę. Nie mogę słuchać, jak uderzają o ścianę.

- No to idź.

Wyjął z kieszeni klucze i podał jej.

Odeszła pośpiesznie, z trudem łapiąc powietrze.

- Pójdę się jeszcze położyć - usłyszała za sobą głos Torsteina.

- Dobrze. Zaraz wrócę.

Elise włożyła klucz do zamka i już miała go przekręcić, kiedy gdzieś z głębi dobiegło ją jakby westchnie. Zajrzała do środka, ale niczego nie zobaczyła. Drżącą ręką zaczęła zamykać drzwi i wtedy usłyszała cichy jęk. Bała się, ale ciekawość wzięła górę.

Torstein twierdził, że ją chroni, więc chyba nic nie powinno jej grozić, pomyślała i weszła do środka.

Znowu ten jęk. Stanęła i nasłuchiwała. Wydało jej się, że dźwięk dochodzi z pomieszczenia, w którym Torstein przechowywał szkielety zwierząt. To chyba niemożliwe! Tam były tylko kości.

Nacisnęła klamkę i zaczęła powoli otwierać drzwi. Zaskrzypiały nieprzyjemnie. Wzdrygnęła się, jej oddech przyśpieszył. Skąd pochodzą te dziwne dźwięki?

Zakręciło jej się w głowie i nogi same ją poniosły. Tuż za nią rozległ się upiorny śmiech, sterta kości w kącie jakby się poruszyła. Elise otworzyła szeroko oczy.

Boże drogi, co to jest? Cofnęła się, chciała wyjść, ale w tym momencie drzwi się zamknęły, śmiech umilkł i zapadła ciemność.

Po omacku trafiła do nich i zaczęła w nie walić.

- Torstein! - krzyczała. - Jestem tutaj! Zostałam uwięziona!

Poczuła podmuch wiatru. Nacisnęła klamkę, ale drzwi ani drgnęły. Boże, jaka była głupia! Po co tu przyszła? I to z własnej woli! Nagle pomyślała, że właściwie nie wiedziała, co robi. Skierował ją tu jakiś

wewnętrzny przymus. Jakby ktoś chciał, żeby tu weszła. Jakby chciał ją skrzywdzić.

- Torstein! Pomóż mi!

Waliła pięściami w drzwi, ale Torstein się nie zjawiał. Pewnie położył się i zasnął.

Po jakimś czasie usłyszała drapanie w podłogę, a potem poczuła, że coś chodzi jej po nodze, coś małego i miękkiego.

- Mysz! - pisnęła. - Na litość boską, Torstein! Pomóż mi!

Zwierzę zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Po chwili jednak znów rozległo się drapanie. Serce podeszło jej do gardła, ale powiedziała sobie, że to na pewno tylko myszy i szczury, i nieco się uspokoiła.

Nagle w drzwiach stanął Torstein. Podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję, lecz on odepchnął ją i spojrzał na nią z pogardą.

- Idź stąd! - rozkazał. Zobaczyła, że ma w dłoni siekierę.

- Po co ci siekiera? - spytała cicho.

- Posiekam cię na kawałki! - I zaczął machać nią przed jej nosem.

Elise się przeraziła. To wyglądało groźnie.

- Chodź, Torstein - zwróciła się do niego - Musisz odpocząć. I nie powinieneś tak wymachiwać tą siekierą.

On jednak nie tylko nie posłuchał, ale zamierzył się na nią i byłby rozplątał jej głowę, gdyby się nie uchyliła.

- Torstein, co ty robisz?! - krzyknęła.

- To, co powinienem był zrobić już dawno temu. Albo odejdziesz, albo cię zabiję i skończysz jak Iver. Wiem, że go zamordowałaś i pochowałaś w ogródku. Ty nędzna, podła kobieto! - wrzasnął.

Nie poznawała go. Znów nie był sobą, stał się niebezpieczny.

- Mylisz się, Torstein. Nikogo nie zabiłam.

Bała się o swoje życie, więc błyskawicznie przemknęła obok niego i wybiegła na podwórze. Zatrzasnęła drzwi i szybko je zamknęła. Słyszała, jak Torstein wali w nie wściekle, jakby oszalał. Co miała teraz zrobić? Czyżby musiała opuścić mężczyznę, którego kochała?

Usiadła na stołku i oparła się plecami o ścianę domu. Słyszała krzyki Torsteina, ale nie mogła go wypuścić. Wiedziała wprawdzie, że kiedy znów dojdzie do siebie, nie będzie nic z tego pamiętał. Ale co z tego, skoro w każdej chwili sytuacja może się powtórzyć. Groziło jej

niebezpieczeństwo. Torstein mógł ją zabić lub donieść na nią lensmanowi.

Rozejrzała się i westchnęła. Z ciężkim sercem podjęła decyzję. Musiała ratować siebie, nie jego. Oby tylko nikt nie wypuścił go za wcześnie. Chciała mieć trochę czasu, żeby odejść wystarczająco daleko.

Weszła na wzgórze, skąd rozciągał się widok na pobliskie lasy. Żółte liście brzoź złociły się na tle zielonych świerków. Było pięknie, ale w jej duszy panował smutek. Znów pogmatwała sobie życie. Odeszła od Torsteina i co dalej? Czy nigdy już nie będzie szczęśliwa?

Szła wąską ścieżką, aż zobaczyła jezioro. Pomyślała, że może kąpiel dobrze jej zrobi. Czuła się taka brudna, także w środku. Co z tego, że o tej porze roku woda jest zimna.

Dotarła do jeziora i powoli zdjęła sukienkę. Weszła do wody i wtedy usłyszała piękną melodię. Wyszła więc na brzeg i popatrzyła na wodę. Na gładkiej powierzchni zobaczyła coś błyszczącego. Zrozumiała, że to wodnik ją wabił. Stąd ta nagła ochota, żeby się wykąpać. Wzdrygnęła się i szybko włożyła sukienkę. Słyszała o takich historiach. Podobno nie raz wodnik swoim graniem skusił młode dziewczęta. Nagle poczuła chłód. Gdzie się podziało słońce? Spojrzała na niebo zasnuwane ciemnymi chmurami i przestraszyła się, że nie ma gdzie się podziać.

Wyszła na ścieżkę i rozejrzała się dookoła. Las w tym miejscu był gęsty, gdzieś widać było poprzewracane grube pnie drzew i wystające poskręcane korzenie. Przeszył ją dreszcz.

Skręciła w inną ścieżkę i po jakimś czasie las się przerzedził. Zobaczyła polankę, a na jej skraju jakąś chatę. Podbiegła i zapukała do drzwi. Otworzyła jej stara kobieta w brudnej sukni, z potarganymi białymi włosami.

- Czego chcesz? - spytała niechętnie, odsłaniając dwa zepsute zęby.

- Muszę gdzieś przenocować. Znajdzie się tu dla mnie miejsce?

Kobieta zmierzyła ją podejrzliwym wzrokiem.

- Nie, nie wpuszczam obcych do domu.

Elise spojrzała w jej bladoniebieskie oczy i jęknęła błagalnie:

- Bardzo proszę. Zmarzłam, a zaraz zacznie padać! Stara pokręciła głową.

- Nie znam cię, a Klaus zabronił mi wpuszczać obcych.

- Kto to jest Klaus?

- Mój mąż. Nie żyje już, biedaczek.

- Rozumiem, ale ja nie jestem niebezpieczna - przekonywała Elise.
W końcu kobieta otworzyła drzwi i wpuściła ją do środka.

- Bardzo dziękuję - ucieszyła się Elise.

Weszła do niewielkiej izby i ze zdziwieniem zauważyła, że wszędzie leżą książki. Na podłodze, na stole, na ławie. Wszystkie miały czarne oprawy, niektóre ze znakiem krzyża. Czyżby to były Biblie? Rzucone tak niedbale?

- Usiądź. Przyniosę karty - powiedziała gospodyni. Po co? - zastanawiała się Elise. Po chwili kobieta

wróciła, spojrzała na nią i wyjaśniła z uśmiechem:

- Powrózę ci. Ciekawe, czy mam rację. - Chcesz mi powróżyc? Ale ja nie chcę! - zaprotestowała Elise.

Przełożyła kilka książek z ławy na stół i usiadła. - To nic groźnego. Nie bój się - uspokajała ją kobieta i znów się uśmiechnęła. Można było odnieść wrażenie, że nawet się cieszy z jej odwiedzin.

- Nie chcę - powtórzyła Elise.

Uznała, że staruszka jest zbyt nachalna, poza tym wcale nie pragnęła wiedzieć, co ją czeka.

- Nie ma w tym niczego podejrzanego. Anikka nie jest groźna. Wróżę od wielu lat, ale ostatnio dawno już nie miałam po temu okazji. Ja... No cóż, to chyba bez znaczenia.

Usiadła naprzeciwko Elise i odsunęła na bok książki.

- Wybierz kartę.

Elise zmuszona była posłuchać.

- Dobrze, pokaż mi ją.

Dziewczyna podała jej kartę z bijącym sercem. A jeśli kobieta wyczyta z niej, że ma przed sobą morderczynię?

Anikka zbladła i westchnęła głęboko.

- Boże, dziecko, przez co ty przeszłaś! Naprawdę nikt nigdy się o ciebie nie troszczył? Czemu nosisz w sercu tak wielki smutek?

Te słowa zdumiały Elise.

- Z wielu powodów - odparła ostrożnie.

- To, co ostatnio zrobiłaś, jest straszne. Musisz do niego wrócić, dziecko. Inaczej czeka go straszna powolna śmierć.

Elise wzdrygnęła się, aż podskoczyła. - Co masz na myśli? - spytała, a serce waliło jej młotem.

- Widzę go. Jest ciemny i tajemniczy, i zna się na czarach. Musisz do niego wrócić, bo umrze. I śpiesz się, nie ma czasu do stracenia.

Elise jęknęła.

- Nie, nie mogę do niego wrócić. On jest niebezpieczny.

- Martwy będzie jeszcze bardziej niebezpieczny.

Jeśli się boisz, wystarczy, że przekręcisz klucz w zamku i uciekniesz.

Elise zadrżała. Naprawdę ma wrócić do Torsteina?

- To jest karta, którą wyciągnęłaś - pokazała jej Anikka.

Elise spojrzała i znów się wzdrygnęła: karta przedstawiała szkielec. Śmierć.

- Nie zostanę tu dłużej. Przerażasz mnie - zwróciła się do kobiety.

- Czytam z kart. Lepiej mnie posłuchaj. Możesz tu do mnie wrócić. Przenocuję cię, ale dopiero, jak zrobisz to, co ci radzę.

- Coś jeszcze zobaczyłaś w kartach? - Owszem, ale teraz nic ci nie powiem. Idź już.

Wiesz, co masz zrobić. I wiesz, gdzie mnie w razie czego znaleźć. Nie zniknę.

Elise zrobiła, co kobieta jej kazała. Wyszła z chaty i chwilę się zastanawiała. Bała się wrócić, ale wiedziała, że musi. Nie mogła pozwolić, żeby Torstein umarł. Kochała go.

Zakradła się do piwniczki i ostrożnie włożyła klucz w zamek. Nie słyszała Torsteina, ale mógł przecież stać za drzwiami i czekać, aż ona otworzy, i wtedy ją zaatakować.

Przekręciła klucz, odwróciła się i pobiegła w stronę ścieżki. Po chwili zatrzymała się i schowała za pnem. Stąd widziała i podwórze, i piwniczkę.

Czekała.

Drzwi pozostały zamknięte. Czyżby Torsteina nie było w środku? A może spał? Niemożliwe, przecież go zamknęła.

Zagryzła zęby i złapała się pnia tak mocno, że zbieleły jej kostki. Nie spuszczała wzroku z drzwi do piwniczki, ale nikt ich nie otworzył. Dlaczego? Może Torstein umarł?

Postanowiła sprawdzić. Nie chciała mieć kolejnego życia na sumieniu. Nagle przypomniała sobie, że Torstein ma siekiere. Może stoi gdzieś w kącie i czyha na nią? Pytania kłębiły jej się w głowie. Podeszła

do piwniczki, zatrzymała się i wyprostowała. Nacisnęła klamkę i powoli otworzyła drzwi.

- Torstein! - zawołała.

Weszła do środka i ostrożnie się rozejrzała. Widziała wiszące pod sufitem kiełbasy i szynki oraz kawałki solonego mięsa. Spojrzała ha drzwi do pomieszczenia, gdzie leżały szczątki zwierząt. Czyżby Torstein był tam?

Zawołała go ponownie. Bez odpowiedzi. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Przez chwilę przyzwyczajając się do ciemności.

Nagle zobaczyła w mroku jakąś postać, coś się poruszyło. Wzdrygnęła się z lęku.

- Kim jesteś? - usłyszała.

Rozpoznała głos Torsteina i odetchnęła z ulgą. Żył.

- To ja, Elise. Nie poznajesz mnie?

- Elise? Jak to dobrze. Coś dziwnego się ze mną dzieje. Boję się, Elise.

Słyszała strach w jego drżącym głosie.

- Pomogę ci wrócić do domu, Torstein. - Myślałem, że oszaleję. Dlaczego zostałem tu zamknięty?

- Groziłeś mi siekierą. Chciałeś mnie zabić. Dlatego cię zamknęłam.

- Co takiego? To niemożliwe! Ja cię przecież kocham. - Byłeś jakiś odmieniony. Przeraziłam się i...

- Nie rozumiem, co we mnie wstąpiło.

Wyszli z piwniczki. Elise zamknęła drzwi i dała Torsteinowi klucze.

- Gdzie jest siekiera? - spytała.

- Nie wiem - odparł zdziwiony.

Elise widziała, że jest kompletnie zdezorientowany, i postanowiła nie wracać już do tej sprawy.

- Wejdźmy do domu. Przygotuję ci coś do jedzenia.

- Dobrze. Jestem głodny jak wilk.

Chwycił ją za rękę, a ona zeszywniała. Kiedy jednak spojrzała w jego łagodne oczy i poczuła jego wargi na swoich ustach, uspokoiła się i odprężyła. Tęskniła za Torsteinem takim, jakiego znała i jakiego kochała.

Pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne; Elise czuła narastające pożądanie i próbowała je stłumić. Odsunęła się od Torsteina.

- Odłóżmy to na później. To nie jest dobra pora na takie rzeczy. Najpierw musimy coś zjeść.

Uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła grymas rozczarowania na jego twarzy. Weszli razem do kuchni. Elise zagotowała wodę, zrobiła kawę i posmarowała chleb dżemem truskawkowym, który Torstein uwielbiał.

Wyglądało na to, że wszystko wróciło do normy. Była zadowolona, że jednak posłuchała starej kobiety. Pewnie Anikka widziała w kartach, że Torstein już się uspokoił i przestał być groźny. Inaczej pewnie nie proponowałyby jej powrotu do niego.

Torstein wstał i przyniósł dwa kubki. Nalał do nich gorącej kawy.

- Nareszcie czuję się nieco lepiej - przyznał. Położył dłoń na klatce piersiowej i głośno beknął. Elise zachichotała.

- To nieelegancko. Dobrze, że jesteśmy tu sami - powiedziała.

Nie powinna była tego mówić, bo jego oczy natychmiast zrobiły się czarne jak noc.

- Mój brat był dla ciebie ciągłym utrapieniem - rzucił lodowatym tonem.

Cóż mogła odpowiedzieć? To była prawda. Nie chciała jednak do tego wracać; bała się, że Torstein znów się zmieni.

- Porozmawiajmy o czymś innym - zaproponowała.

- Jest mi bardzo trudno. Tak mi go brakuje - ciągnął smutno.

Elise rozumiała, że toczył ze sobą walkę. Był smutny, ale i zły.

- Rozumiem cię - zapewniła i położyła dłoń na jego ręce. - Mnie też jest smutno.

Mówiła to szczerze. Wiedziała jednak, że gdyby nie próbowała się bronić, teraz nie byłoby jej już wśród żywych.

Torstein cofnął dłoń.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego obudziłem się w tej piwniczce. Czy to były jakieś czary?

- Nie wiem, Torstein - odparła niepewnie. - Gdzie byłaś? - spytał nagle, przyglądając się jej badawczo.

- W domu. Sprzątałam.

- A dlaczego jest zbita szyba? Zdziwiła się, że to zauważył.

- Wiatr otworzył okno tak, że uderzyło o ścianę i szyba wyleciała.

- Aha. Poproszę Olego, żeby wstawił nową. Elise spojrzała na okno, które nadal uderzało o ścianę, i zobaczyła, że znów pada deszcz. Poczuli się rozdrażniona, smutna i przybita. Torstein westchnął.

- Znowu pada, a ja mam tyle pracy. Trudno, oknem zajmę się później.

- Wieczorem będzie zimno - zauważyła. Wolałaby, żeby szyba została wstawiona szybciej.

Bała się, że ktoś może wejść do domu.

- Trudno, Elise. Zamkniemy drzwi od kuchni, to w pokoju będzie ciepło.

Elise westchnęła, podniosła się i zaczęła sprzątać ze stołu. Potem naląła wody do miski i włożyła do niej naczynia, żeby się wymoczyły.

Torstein wyszedł, a ona sięgnęła po chustkę, zarzuciła ją na ramiona i stanęła przed domem na kamiennych schodkach. Patrzyła za nim, jak znika za rogiem. Już miała wrócić do środka, gdy zobaczyła, że Torstein zawraca i biegnie w jej stronę.

- Osunęła się ziemia z gliną! Gdzie jest ta przeklęta łopata? - wołał.

- Gdzie się osunęła? - zaniepokoiła się Elise.

- Tam, gdzie są kamienie - rzucił i pognął do szopy.

Elise zeszła ze schodków na drżących nogach i ruszyła szybkim krokiem w stronę miejsca, gdzie pochowała Ivera. Zobaczyła osuwającą się glinę. Przestraszyła się, bo dół, który wykopała, nie był zbyt głęboki.

Torstein wrócił, zaczął zgarniać ziemię wymieszaną z gliną i rzucać ją na kamienie.

- Jeśli mokra ziemia i glina zasypią ścianę, drewno zgnije - tłumaczył przejęty.

Elise pokiwała głową. Zdążyła już zmoknąć, ale wiedziała, że musi zostać do końca.

Torstein oparł się na łopacie i pociągnął nosem.

- Co tu tak cuchnie? - zdziwił się raptem.

Elise bała się, że zaraz zemdleje. Też poczuła przykry zapach. Muszę go stąd odciągnąć, pomyślała, ale wiedziała, że nie będzie to proste.

- To pewnie zatechła ziemia - zasugerowała.

- Tak, pewnie tak. Fuj! - burknął Torstein pod nosem.

Elise stała i przyglądała się, jak on odgarnia osuwającą się ziemię. Było jej zimno, zacisnęła zęby, ale nie ruszyła się z miejsca. A Torstein, nie zważając na deszcz, kopał dalej.

Spojrzała na miejsce, w którym zakopała Ivera, i stłumiła krzyk. Z ziemi wystawała dłoń!

Rozdział 15

Hannele była jak sparaliżowana. Martin opuścił ją, bo posłuchał Posępnego Starca. Nie mogła tego zrozumieć.

Znaczyło to, że jej nie kochał. Bo gdyby naprawdę mu na niej zależało, z pewnością by nie uciekł. Wiedziała, że musi o nim zapomnieć. Ale nie było to proste, wciąż nosiła go w sercu. Martin pomógł jej uporać się ze smutkiem po śmierci Mikkela. A teraz ją zawiódł. Zawiódł i opuścił.

Do izby weszła matka. Hannele usiadła na łóżku i spytała:

- Chcesz czegoś?
- Co się z tobą dzieje? Opamiętaj się, Hannele.
- On już nigdy nie wróci! - jęknęła dziewczyna.
- Mówiłam ci, że jeśli odszedł, to nie jest wart twoich łez, Hannele
- powtórzyła matka.
- Wiem, ale wcale nie jest mi lżej. Kocham go. Matka usiadła przy niej na łóżku.

- Jesteś silna, poradysz sobie. A o nim zapomnisz, zobaczysz.

Hannele westchnęła.

- Może i tak, ale nie dziś i nie jutro.
- Po prostu kiedyś. A teraz chodź do nas, zjedz coś. Pewnie już dawno nie jadłaś mięsa z kluskami?

Hannele poczuła, że jest głodna.

- Nawet nie pamiętam kiedy - przyznała.

- Więc chodź - zachęcała matka.

Hannele poszła z nią do kuchni, gdzie ojciec przeglądał jakąś starą gazetę. Była zmięta i brakowało w niej stron, ale jemu wcale to nie przeszkadzało.

Matka podała jedzenie. Hannele jadła z apetytem. Kluski z mięsem smakowały wprost nieziemsko. Nie pamiętała, kiedy ostatnio jadła coś równie pysznego.

Nagle zauważyła, że ojciec przygląda jej się badawczo.

- Powinnaś znaleźć sobie mężczyznę, który się z tobą ożeni. Ustatkować się, zamiast żyć w grzechu. Stać się szanowaną kobietą - mruknął.

Hannele nie była zachwycona, że ojciec wtrąca się w jej życie, ale musiała przyznać mu rację. Zachowywała się lekkomyślnie, ale czy

miłość to grzech? Nigdy nie byłaby ani z Mikkelem, ani z Martinem, gdyby ich nie kochała.

- Jest pełno przyzwoitych mężczyzn. Powinnaś się na któregoś zdecydować - ciągnął ojciec.

Hannele stłumiła gniew, bo wiedziała, że ojciec chce jedynie jej dobra. Zamyśliła się i nagle przypomniała sobie, że ma brata. Czy kiedykolwiek będzie jej dane go poznać?

- Mamo?

- Tak?

- Naprawdę mam brata, czy tylko to sobie wymyśliłaś?

Matka uśmiechnęła się i odparła:

- Niczego sobie nie wymyśliłam. Faktycznie masz brata, ale nikt z nas nie wie, gdzie on jest.

- W Graesberget go nie znalazłam. Pojechałam tam z nadzieją, że może go spotkam.

- Nie możemy ci pomóc, Hannele - odezwał się ojciec.

- Pojadę go szukać - oświadczyła nagle dziewczyna. - Zostawię was na jakiś czas samych.

- Przecież dopiero co przyjechaliśmy! - oburzył się ojciec.

- Wiem, ale cała ta sytuacja jest dla mnie bardzo trudna. Nie zapominajcie, że przez długi czas miałam do was żal. Byłam przekonana, że to wy zamknęliście mnie w piwnicy i że mnie oszukujecie. Dlaczego nie chcecie rozmawiać o tym, co się wydarzyło?

Matka posłała jej smutne spojrzenie.

- Było nam wstyd, że nie mogliśmy ci pomóc, ale musieliśmy szybko wyjechać. Baliśmy się Ramona. Oszukał nas, przez niego trafiliśmy do więzienia, ale na szczęście zostaliśmy oczyszczeni z zarzutów.

- Wiem, nadal się jednak zastanawiam, dlaczego zostawiliście mnie samą w tej piwnicy?

- Mówiłam ci już, że to Ramon cię tam zamknął. Pozwolił mi nosić ci jedzenie i wodę, ale nic więcej. Nie wiedzieliśmy, co on knuje. Nie mogłam znaleźć klucza do piwnicy, bo gdzieś go schował. W końcu uciekliśmy. Nie wiem, jak by to wszystko się skończyło, gdybyśmy zostali.

- A ja mu ufałam. Dopóki nie zabrał mi dziecka - dodała smutno Hannele.

Czuła dławienie w gardle na samo wspomnienie tego smutnego zdarzenia. Nie miała pojęcia, co się dzieje z Sigrid. Może cierpi, może jest jej źle?

- Myślisz o swojej córeczce? - domyśliła się matka. - Nie zadrećzaj się, proszę.

Hannele miała ochotę podejść i objąć matkę, tak jak to robiła w dzieciństwie. Pamiętała, jaka matka była dla niej wtedy dobra.

- Nie mogę przestać o niej myśleć, mamó. To przecież moje dziecko.

- Rozumiem, ale jeśli nie przestaniesz, możesz się rozchorować. Spróbuj zająć myśli czymś innym.

- Dobrze, mamó.

- Zostań z nami - poprosił ojciec i upił ze szklanki łyk wody.

- Nie, muszę jechać - postanowiła Hannele. - Za dużo tu wspomnień. Nie dają mi spokoju. A podróż pozwoli mi o nich zapomnieć. Będę jechała konno i cieszyła się przyrodą. W końcu poczuję się wolna.

- A więc jedź - zgodziła się matka.

Ojciec jednak najwyraźniej był innego zdania, bo zmarszczył czoło, ale się nie odezwał. Hannele wstała i zwróciła się do matki:

- Wkrótce znów się spotkamy. Matka skinęła głową i westchnęła.

- Ale jak ty sobie poradzisz? - zmartwił się nagle ojciec.

- Skoro wcześniej dawałam sobie radę, to i teraz nie zginę.

- Pamiętaj, że w podróży spotyka się różnych ludzi - ostrzegł ojciec surowym tonem.

Hannele wiedziała, że się o nią niepokoi, a mimo to przypomniła sobie nagle czasy, kiedy mieszkali razem we dworze. Ojciec zachowywał się wtedy okropnie. Uwiódł i wykorzystał jedną ze służących. Miała nadzieję, że taka sytuacja już nigdy się nie powtórzy, że ojciec nigdy więcej nie zdradzi żony.

Podeszła do matki i pocałowała ją w policzek.

- Wróć mamó, obiecuję - zapewniła. Spojrzała na ojca, ale się z nim nie pożegnała, bo wciąż jeszcze miała do niego żal.

Wyszła z chaty z przeświadczeniem, że postąpiła słusznie. Postanowiła spalić za sobą mosty i zacząć wszystko od nowa. Była pewna, że już nigdy nie zobaczy córeczki i że Martin zniknął z jej życia na dobre.

Osiadła Promyka, wsiadła na jego grzbiet i ruszyła przed siebie. Kiedy dotarła do lasu, zaczerpnęła świeżego powietrza i od razu poczuła się lepiej. Lekko i radośnie. Jakby ktoś zdjął ciężar z jej ramion.

Jechała już dobrą godzinę, kiedy nagle zobaczyła jadący z naprzeciwka wóz. Padał deszcz i żałowała, że nie wzięła ze sobą peleryny. Była przemoczona, z mokrych włosów ściekała woda. Pozwoliła, żeby koń sam wybierał drogę. Na tym polegała swoboda, dlatego była taka kusząca. Chciała znaleźć brata, ale jeśli jej się nie uda, to trudno. Wiedziała jednak, że przynajmniej musi spróbować.

Wóz zbliżał się, więc zjechała na skraj drogi. Nagle rozpoznała woźnicę. To był Tron!

Zatrzymał się, wychylił nieco i zawołał zdziwiony:

- No proszę, to naprawdę ty, Hannele?!

Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Tyle czasu minęło... Przypomniała sobie, jak byli ze sobą wtedy, w lesie, i zarumieniła się na to wspomnienie. Czy on też o tym myślał?

- Dzień dobry - odparła w końcu.

- Dawno się nie widzieliśmy. - Tron przyglądał się jej uważnie.

- Tak. Co u ciebie? Wszystko dobrze? Odgarnął włosy do tyłu. Po jego policzkach spływały strużki deszczu.

- Tak, chociaż zaraziłaś mnie tą okropną chorobą. Tannel też chorowała.

Hannele zrobiło się wstyd. Poczula się winna.

- Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że jestem chora.

- No, ale teraz wyglądasz kwitnąco - stwierdził nagle.

- Jestem zdrowa, nic mi już nie dolega.

- Ja też miałem szczęście. I Tannel. Długo jednak szczerze cię nienawidziłem. Byłem pewien, że wiedziałaś o chorobie.

- Naprawdę nie wiedziałam. Musisz mi uwierzyć.

- Hm, tyle czasu minęło... No cóż...

- Mogę cię tylko przeprosić.

- Tak...

- Przykro mi.

Rzeczywiście było jej przykro i naprawdę nie kłamała: kiedy byli ze sobą, nie miała jeszcze żadnych objawów, nie mogła więc wiedzieć, że jest chora.

- Nie wracajmy już do tego. Oboje jesteśmy zdrowi. I cieszę się, że u ciebie wszystko w porządku.

- To prawda.

Spojrzała w jego żółtobrazowe oczy i pomyślała, że dobrze wygląda, chociaż schudł.

- Miło było cię zobaczyć, ale muszę jechać dalej - powiedziała.

- A co ty tu właściwie robisz? - zainteresował się Tron.

- Wybrałam się w podróż. Tak przed siebie. Nie chciałam dłużej być w chacie.

- Rozumiem.

- Muszę jechać dalej i znaleźć jakieś schronienie przed deszczem.

Już przemokłam - dodała.

Nagle Tron uśmiechnął się i zaproponował:

- Jedź ze mną. Moje gospodarstwo jest tu w pobliżu. Będiesz mogła się tam ogrzać.

Hannele drgnęła. Naprawdę Tron mieszkał w tej okolicy?

- Przeprowadziłem się tutaj na jakiś czas. To właściwie gospodarstwo Amalie, ale musiałem odpocząć od wszystkiego. Mam teraz u siebie swoje dzieci i braci Tannel.

Tannel, no właśnie, pomyślała Hannele. - A co u twojej żony? - spytała.

Ledwie się odważyła wymówić jej imię. Pamiętała, że wtedy Tannel wszystkiego się domyśliła. Tron spuścił wzrok.

- Tannel nie żyje. Spadła z konia, straciła dziecko i wykrwawiła się na śmierć. Uderzyła głową o kamień. To było straszne. Do tej pory nie potrafię się z tym pogodzić.

Hannele była tak wstrząśnięta, że z trudem łapała powietrze. Zrobiło jej się go żal. Biedak, pomyślała.

- Jedź za mną - powtórzył i ruszył przodem.

Nie mogła odmówić. Tym bardziej, że była przemoczona i zmarznięta.

Wkrótce dotarli do brzozowej alei. W głębi zobaczyła wielkie gospodarstwo, właściwie dwór. Zaparło jej dech.

Rozdział 16

Hannele siedziała w pokoju, a przed nią stała filiżanka kawy. Było jej ciepło i dobrze. Tron dołożył dREW do kamiennego kominka pociągniętego białym wapnem. Płomienie lizały kamień.

Dwór był zamożny i dobrze utrzymany. Hannele zauważyła liczną służbę, domyślała się też, że w piętrowym budynku na pewno są pokoje gościnne.

Wyciągnęła przed siebie dłonie, żeby ogrzać lodowate palce. Na zewnątrz wciąż padało i krople deszczu spływały po szybie. Miała nadzieję, że wkrótce wyjdzie słońce i będzie mogła pojechać dalej.

Wszedł Tron i wniósł srebrną tacę pełną kanapek.

- Jedz, ile chcesz. W kuchni jest więcej. Kucharka przygotowała - zachęcił i usiadł w fotelu. Wzięła kawałek chleba z serem.

- Dziękuję, Tron. To miło z twojej strony. Zaczęła jeść wyborne kanapki, a on przyglądał się

jej uważnie. Próbowwała odwrócić wzrok, ale coś ją do niego ciągnęło.

- Dobrze wyglądasz - ocenił. - Co się ostatnio z tobą działo?

Wziął dzbanek i nalał im kawy.

- Przez jakiś czas mieszkałam w Szwecji.

- Dobrze się tam czułaś?

- Tak, początkowo. Ale potem działy się tam różne dziwne rzeczy.

Uznała, że nie będzie go okłamywać. Była pewna, że może mu opowiedzieć o swoich przeżyciach.

- Jakie rzeczy? - spytał, popijając kawę.

- Ramon, właściciel gospodarstwa, okazał się kłamcą. Pozwolił mi zamieszkać u siebie, kiedy spodziewałam się dziecka, a gdy urodziłam córeczkę, zabrał mi ją i wyjechał do Ameryki. Razem z żoną, o której istnieniu nic nie wiedziałam. Podobno nie mogli mieć dzieci.

Tron przyglądał się jej wyraźnie poruszony.

- Rzeczywiście postąpił podle. Biedaczka. Zgłosiłaś sprawę lensmanowi?

Hannele pokręciła głową.

- Nie. Mieli dokument, że zrzekam się dziecka.

- Masz może kopię tego dokumentu?

- Niestety, nie.

- Szkoda, bo być może mógłbym ci pomóc. Znam bardzo dobrego adwokata.

Hannele położyła kromkę na talerzu, bo nagle straciła apetyt. Nadal trudno jej było mówić o tym, co przeszła, chociaż wiedziała, że Tron jest jej życzliwy. Była mu wdzięczna za tę troskę.

- Wyjechali do Ameryki. Nie sędzę, żeby zamierzali tu wrócić. Ramon sprzedał gospodarstwo. Mieszkają tam teraz nowi właściciele.

- Ameryka to duży kraj i daleko stąd - zmartwił się Tron. - Przykro mi, że spotkało cię coś takiego.

Hannele nie była w stanie nic powiedzieć, więc tylko westchnęła.

- A jak sobie teraz radzisz?

- Jakoś żyję - odparła szybko. Nie miała siły ciągnąć tej rozmowy. Tron odchrząknął.

- Kiedy urodziłaś dziecko? - spytał ostrożnie.

- Nie musisz się niczego obawiać. To nie jest twoja córka.

Spasował.

- Nie to miałem na myśli.

- Porozmawiajmy o czymś innym - zaproponowała Hannele.

Zapadła cisza, a po chwili Tron zaczął opowiadać o braciach Tannel.

- Juha i Kallin chodzą do szkoły. I doskonale się tani czują. Na szczęście dzieci od początku dobrze ich przyjęły - mówił. Dopił kawę. - Dolać ci? - zwrócił się do niej.

- Tak, poproszę.

Dolał im obojgu kawy i poprawił się na krześle.

- To dobrzy chłopcy, dużo mi pomagają. Kallin bardzo się interesuje gospodarstwem, Juha nieco mniej. Najchętniej chodziłby na ryby i polował. - Uśmiechnął się wyraźnie dumny z chłopców.

- Dobrze się tu czujesz, Tron? - zainteresowała się Hannele.

- Tak. Z tym miejscem nie wiążą się smutne wspomnienia. Znam okolicznych chłopów, spotykamy się dwa razy w tygodniu, gramy w karty, czasem wypijemy po jednym głębszym. Mamy też nowego pastora, który mówi o Bogu jak o najlepszym przyjacielu. Przyznaję, że początkowo byłem nieufny, ale teraz lepiej to rozumiem.

- Przecież tu nie ma kościoła - zauważyła zdziwiona Hannele.

- To prawda, kościoła nie ma, ale jest kaplica. Ludzie przychodzą tłumnie na jego kazania. To bardzo mądry człowiek.

- Dobrze, że masz tu tylu znajomych. Nie tęsknisz za Furulią?

- Czasem tęsknię. W końcu tam dorastałem. Ale w Furulii prześladowają mnie wspomnienia. Kiedy tam jestem, wszędzie widzę Tannel. Popadam w obłąd.

Hannele wiedziała, że Tron bardzo kochał żonę. To, co kiedyś zaszło między nimi, nie było niczym poważnym. Przynajmniej dla niego. Nie miała co do tego złudzeń. Dlatego uznała, że powinna wyjechać. Tron nadal przeżywał żalobę i wciąż kochał swoją Tannel. Jej osoba na pewno budziła w nim przykre wspomnienia. Niewiele przecież brakowało, a byłaby wówczas zniszczyła jego małżeństwo.

Dokończyła kanapkę, dopiła kawę i wytarła usta serwetką.

- Dziękuję za poczęstunek i miłą rozmowę, ale muszę jechać dalej.

- Musisz? Chyba nigdzie ci się nie śpieszy?

- Niestety, muszę. Ty masz swoje sprawy i nie będę ci przeszkadzać.

- W tej chwili nie jestem zajęty. Spokojnie możesz tu przenocować, tym bardziej, że nadal pada.

- Bardzo ci dziękuję, ale nie. To nie wypada, i dobrze o tym wiesz. Nie mogę tu zostać. Pamiętasz, że niewiele brakowało, a zniszczyłabym twoje małżeństwo?

- Nie wracajmy do tego. Źle wtedy postąpiliśmy. Długo nie mogłem sobie wybaczyć, że tak potraktowałem Tannel, ale potem ja i ona wróciliśmy do siebie. A teraz... - urwał i przełknął głośno ślinę. - Teraz jej już nie ma, a życie toczy się dalej.

- Więc nie masz do mnie żalu?

- Nie, to dawne dzieje.

- Tak czy inaczej, muszę jechać. Nie mogę tu zostać.

- Nie pojedziesz sama lasem w taką pogodę!

Nie miała siły walczyć. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Przywarł do niej wzrokiem. Zastanawiała się, czy chce, żeby została jedynie ze względu na deszcz, czy też jest jakiś inny powód.

W końcu uznała, że jednak nie może zostać, i wstała.

- Dziękuję za zaproszenie, Tron, ale naprawdę muszę już jechać. Chcę odnaleźć brata.

- Brata?

- Tak. Kiedyś mieszkał w Graesberget, ale już go tam nie ma. Muszę go odszukać.

- To może być trudne. Wiesz przynajmniej, jak on wygląda?

- Nie.

- Nadal uważam, że powinnaś zostać tu do jutra. Wieczorem na pewno go nie znajdziesz. Dobrze ci radzę.

- Dlaczego chcesz, żebym tu została, Tron? - zapytała wprost.

Zaczerwienił się i odparł:

- Nie mam żadnych niecznych zamiarów, chociaż przyznaję, że cieszę się z naszego spotkania. Prawdę mówiąc, dawno już nie rozmawiałem z kobietą.

- Mogę ci ufać?

- Oczywiście - zapewnił. - Dam ci pelerynę i oprowadzę cię po gospodarstwie. Mamy tu dużo różnych zwierząt.

Był podekscytowany, cieszył się jak dziecko. - Macie tu dużo zwierząt - powtórzyła z uśmiechem. - A więc dobrze, pokaż mi je. Wstał i poprowadził ją do sieni.

- Wszystko ci pokażę - zapewnił.

Znalazł jakieś okrycie i podał jej. Było na nią za duże, ale chodziło przecież tylko o to, żeby nie zmoknąć.

Tron spojrzał na nią i uśmiechnął się przeprasząco.

- Niestety, nie mam nic mniejszego.

- Nie przejmuj się. Jest dobrze.

- No to idziemy.

Wyszli na zewnątrz i od razu wiatr rozwiał jej włosy.

Tron odwrócił się i ich spojrzenia się spotkały. Co zobaczyła w jego oczach? Tęsknotę? Miała nadzieję, że jednak nie. Nie chciała, żeby znów ją oczarował, jak wtedy, w lesie. To było dawno temu, ale dobrze pamiętała, czym się to skończyło.

Weszli do obory i uderzył ją przyjemny zapach zwierząt. Przypomniało jej się dzieciństwo. Mieli wówczas krowy, które często doiła. Ale to już minęło, pomyślała z żalem.

Tron z dumą oprowadzał ją po gospodarstwie.

- To piękne zwierzęta, dają dużo mleka. Część przekazuję miejscowemu chłopu, który odstawia je do Kristianii. Na pewno nieźle na tym zarabia, ale ja też nie narzekam. Amalie na pewno się ucieszy, kiedy się o tym dowie - dodał.

- U Amalie wszystko w porządku? - spytała Hannele.

Przyglądała się licznym krowom stojącym w przegrodach i przeżuwającym trawę. Wszystkie były czyste i miały błyszczącą sierść.

- Tak. Amalie i Ole wyglądali na szczęśliwych, kiedy ich ostatnio widziałem. Było to co prawda już jakiś czas temu, ale nie sądzę, żeby coś się zmieniło - odparł Tron.

- To dobrze. Przyznaję, że czasem za nimi tęsknię.

- Amalie jest dobrą siostrą. A Kari dawno nie widziałem. Osiadła ze swoim Paulem w Kirkenaer.

Hannele skinęła głową i poszli dalej.

- Tutaj mamy owce i kozy. Chcesz zobaczyć?

- Dobrze, wejdźmy do nich - zgodziła się Hannele. Owce chodziły po przegrodzie i beczały. Tron

wziął garść siana ze sterty i rzucił im ze słowami:

- No to teraz już nie będziecie głodne.

Miał dobre podejście do zwierząt; widać było, że hodowla sprawia mu przyjemność.

- Gdzie są kozy? - zapytała Hannele i rozejrzała się po oborze.

- Tutaj, podejdź bliżej.

Tron otworzył kolejne drzwi. Poszła za nim i poczuła ostry zapach kóz.

- Mogą ubóść? - zaniepokoiła się na widok ich rogów.

- Móc mogą, ale nie słyszałem, żeby kiedykolwiek kogoś ubodły.

Hannele schyliła się i podrapała jedną z kóz za uchem. Tron uśmiechnął się i powiedział:

- Widzisz, to miłe zwierzęta i bardzo przyjazne.

- Rzeczywiście masz dużo zwierząt. Ilu ludzi zatrudniasz?

- Czterech parobków dogląda inwentarza, no i są jeszcze trzy dojarki.

- To duże gospodarstwo, większe niż Furulia. Przełożył rękę przez ogrodzenie przegrody i potwierdził:

- To prawda. Na brak zajęcia nie narzekam. Ale to dobrze, bo nie mam czasu myśleć.

Hannele przytaknęła. Znów pomyślała o Tannel i o miłości, jaką Tron darzył żonę. Do tej pory gryzło ją sumienie, że go uwiodła. Była nim zauroczona, ale wiedziała, że nigdy mu tego nie powie.

Wrócili do obory i Tron wziął ją za rękę. Drgnęła i zamarła.

- Co ty robisz?

- Chcę tylko potrzymać cię za rękę.

- Nie, to nie to. - Popatrzyła mu prosto w oczy i cofnęła dłoń. - Przykro mi, Tron, ale to, co się wtedy stało w lesie, już nigdy się nie powtórzy. Obiecałam to sobie tego dnia, kiedy opuściłam Furulię. Było mi wstyd, i nadal jest. Nie mogę sobie tego wybaczyć.

Tron spuścił wzrok. - Mnie też jest przykro z tego powodu. Kosztowało mnie to wiele łez, nie mówiąc już o tym, że mój związek z Tannel na tym ucierpiał. Ale nigdy o tobie nie zapomniałem. Niemniej rozumiem cię i zapewniam, że możesz się przy mnie czuć bezpieczna.

- Wyjadę i już nigdy tu nie wrócę. Wiele przeszłam i teraz potrzebuję samotności.

Tron westchnął.

- Wiem, jak to jest, ale smutno żyć samemu. Czasami brakuje mi kogoś, kto by mnie objął, z kim mógłbym podzielić się myślami i...

- Przestań, Tron! - przerwała mu ze złością. - Nie wolno ci tak mówić.

- Po prostu tak myślę. Nie jestem stworzony do samotności. Potrzebuję kogoś, kto...

- Słyszałam, co powiedziałeś.

Nie miała siły tego słuchać. Tron był bogatym gospodarzem, a ona biedną fińską dziewczyną.

- Pojadę już. Miło było cię znów zobaczyć - rzuciła. Otworzyła drzwi i wymknęła się z obory, zanim zdążył ją zatrzymać. On jednak nie zamierzał się poddać i ruszył za nią szybkim krokiem.

- Posłuchaj mnie, Hannele. Wiem, że między nami nie ma miłości, ale z czasem może się to zmienić. Nadal jestem w żałobie po Tannel, ale doskwiera mi samotne życie, a ty... Chodzi mi o to, że przecież się znamy...

Hannele uznała jego propozycję za wręcz obraźliwą. Tron szukał kogoś, kto ogrzałby mu łóżko. Nie chciała takiego życia. Ojciec miał rację: powinna znaleźć sobie przyzwoitego mężczyznę, który zechce się z nią ożenić.

- Nie mów takich rzeczy. Nie jestem dziwką! Podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu.

- Nie to miałem na myśli - zaczął się tłumaczyć.

- Właśnie to! - obruszyła się. - Weź rękę! Biorę konia i wyjeżdżam.

- Zaczekaj. Muszę ci coś powiedzieć. Hannele odsunęła jego dłoń.

- Chcę się z tobą ożenić, Hannele. Niebiosa mi cię zesłały.

Otworzyła usta i patrzyła na niego ze zdumieniem. On chyba zwariował.

- Wyjeżdżam - powtórzyła stanowczo. - Sam mówiłeś, że tęsknisz za Tannel.

- Jesteś taka piękna i...

Nie zamierzała go dłużej słuchać. Poszła do stajni, osiodłała Promyka, chwyciła cugle i pociągnęła konia za sobą. Miała nadzieję, że Tron zdążył się opamiętać.

Ale kiedy wyszła, on już na nią czekał.

- Hannele, źle się wyraziłem. Przepraszam. Wsiadła na konia i spojrzała na niego z góry. - Nie mogę przyjąć twojej propozycji. Żałowałabym, gdybym zgodziła się zostać twoją żoną.

- Dlaczego?

- Szukam mężczyzny, który mnie pokocha. Nigdy nie będę Tannel.

- Wiem o tym.

- Dlatego nie mogę za ciebie wyjść. Ty zawsze będziesz o niej myślał. Nie chcę z nią rywalizować.

Ściągnęła cugle i ruszyła przed siebie.

- Zaczekaj, Hannele! Zostań przynajmniej kilka dni. Obiecuję, że nie będę ci się narzucać.

Chwycił wodze i zatrzymał konia. W jego oczach widziała błaganie.

- Naprawdę twoje życie jest aż tak smutne? Skinął głową.

- Cieszę się, że mam gospodarstwo i dzieci, ale mimo to czuję się bardzo samotny.

- Wiesz, że nie mogę tu zostać. Ludzie zaczęliby gadać i podejrzewać, że...

- Nie, nie sądzę - przerwał jej. - Poza tym nie wierzę, żebyś przejmowała się plotkami.

- Ależ tak.

- Ty nie jesteś taka.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Po prostu wiem.

Hannele była coraz bardziej rozdrażniona.

- Puść cugle. Podjęłam decyzję i nie zamierzam jej zmieniać. Nie wystarczy po prostu wziąć ślub. To nie o to chodzi.

- Wiem, ale możesz przynajmniej się zastanowić?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo postanowiłam, że więcej cię nie zobaczę. Przełknęła głośno ślinę. To nie do końca była prawda, ale chciała, aby Tron zrozumiał, że nie może przyjąć jego propozycji.

On jednak nie puszczał cugli.

- Nie wierzę ci. Zapomniałaś, jak dobrze nam było? W ogóle mnie już nie pragniesz?

Westchnęła głośno.

- Przestań, nie chcę tego słuchać - powtórzyła po raz kolejny.

- Tak czy inaczej, musiałem przynajmniej spróbować. Ale cóż, jeśli mnie nie chcesz, pozostaje mi tylko życzyć ci szczęśliwej podróży.

Hannele bała się ulec pokusie. Tron był przystojny, miły, no i bogaty. A ona czuła się samotna i opuszczona. Obawiała się jednak kolejnego zawodu. Była pewna, że jeśli zostanie z Tronem, to tym się właśnie skończy.

- Muszę ruszać. Pada deszcz i jest mi zimno. Tron westchnął z rezygnacją.

- Gdzie się schronisz? Nie możesz jechać sama przez las. Pełno tu włóczęgów, a nie wszyscy są mili i przyjaźnie nastawieni.

- Wiem, ale wiem też, że nie mogę tu zostać.

- Rozumiem.

Hannele pociągnęła za cugle tak mocno, że wyszarpnęła mu je z ręki.

- Może jeszcze kiedyś się zobaczymy! - rzuciła i pomachała mu ręką.

Cmoknęła na konia i po chwili galopowała już drogą. Deszcz siekł ją w twarz, ale było jej wszystko jedno. Nagle gdzieś zza krzaków dobiegł ją jakiś hałas. Wzdrygnęła się, koń zarżał i stanął dęba. Próbowwała utrzymać się na jego grzbiecie, ale nie zdołała. Spadła na ziemię i poczuła tak ostry przeszywający ból w stopie, że aż jej pociekły łzy. Zawołała konia, a on podszedł i trącił ją nozdrzami.

- Musisz sprowadzić pomoc - powiedziała, jakby Promyk ją rozumiał.

- Hannele! Co się stało? - rozległ się nagle znajomy głos.

Podniosła głowę i zobaczyła, że biegnie do niej Tron.

- Spadłam z konia. Usłyszałam jakiś szelest w krzakach, koń się przestraszył i stanął dęba - wyjaśniła i jęknęła z bólu. - Boli mnie stopa - dodała.

- Pomogę ci wstać.

- Nie, za bardzo boli.

Znów jęknęła. Ból był bardzo silny. Czyżby złamała nogę w kostce?

- Nie możesz tak tu siedzieć - stwierdził Tron. - Musi obejrzeć cię lekarz. Nie możesz jechać w takim stanie. Niewykluczone, że złamałaś nogę...

- Wiem - westchnęła.

Tron nie pytał już o nic, tylko bez słowa wziął ją na ręce i zawołał konia. Promyk posłusznie podszedł i ruszyli przed siebie. Tron niósł Hannele, jakby była piórkiem.

- Jak tylko dotrzemy do domu, położysz się do łóżka, a ja pošle kogoś po doktora.

Wkrótce byli na miejscu. Tron podszedł do drzwi i otworzył je nogą.

- Sonja, chodź tutaj! - zawołał głośno. Z kuchni wyszła młoda dziewczyna.

- Co się stało? - spytała, zerkając na Hannele.

- Spadła z konia. Zawołaj Edgara, niech natychmiast jedzie po doktora - zarządził.

Dziewczyna skinęła głową i pobiegła po parobka.

Tron zaniósł Hannele na górę i otworzył drzwi do jednego z pokoi. Domyśliła się, że to jego pokój, bo na podłodze leżały porzucane jego ubrania.

Położył ją delikatnie na łóżku i zdjął z niej okrycie.

- Wygodnie ci? - zapytał łagodnie. - Tak, bardzo ci dziękuję.

Dorzucił do ognia kilka szczap, buchnęły płomienie i powoli ogarnęła ją fala ciepła.

- Nie musisz mi dziękować. To chyba naturalne, że ci pomagam - odparł poważnie.

- Sprawiam ci kłopot - zmartwiła się Hannele.

Wiedziała, że jeśli noga jest złamana, będzie musiała zostać tu dłużej.

- Co ty mówisz! - obruszył się Tron. - Jestem zadowolony, że zostaniesz. Sam cię do tego namawiałem, pamiętasz?

- Tak, ale...

- Nic nie mów. Wszystko będzie dobrze. Muszę jednak przyznać, że się wystraszyłem, kiedy spadłaś z konia. Od razu pomyślałem o Tannel. Miałaś szczęście.

- To prawda - przyznała Hannele, chociaż wiała się z bólu.

Tron pochylił się nad nią i spojrzał jej w oczy. - Jesteś piękna, nawet taka ubłocona - szepnął miękko.

Otworzyła usta, żeby go skarcić, i wtedy znów przeszył ją ból.

- Widzę, że cierpisz, ale zaraz będzie tu doktor. Mogę zobaczyć twoją stopę?

- Tak, ale ostrożnie.

Tron podciągnął jej suknię i poczuła jego dłoń na swojej skórze.

- Masz spuchniętą kostkę. Leż spokojnie i nie ruszaj się, dopóki nie obejrzy cię doktor. Zejdę na dół i przyślę ci coś do picia. Może przydałby się też ciepły okład?

- Chyba tak - odparła Hannele i zamknęła oczy. Po chwili do pokoju weszła dziewczyna ze szklanką wody i ciepłym mokrym ręcznikiem.

- Proszę się napić. Pan mówi, że to dobrze pani robi.

Postawiła szklankę na stoliku nocnym i delikatnie przyłożyła ręcznik do jej stopy. Hannele poczuła ulgę i spojrzała na służącą z wdzięcznością.

- Bardzo dziękuję - powiedziała cicho. Dziewczyna dygnęła, zapewniła, że doktor zaraz się zjawi, i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Hannele przekręciła się lekko na bok i sięgnęła po szklankę. Wypiła wodę, położyła się na wznak, zamknęła oczy i zapadła w drzemkę.

Rozdział 17

Elise patrzyła na wystającą z ziemi rękę. Zakryła usta dłonią i spojrzała na Torsteina, który odgarniał glinę przy ścianie domu. Jeszcze niczego nie zauważył. Musiała szybko coś zrobić.

Podeszła do niego i odezwała się najspokojniej, jak potrafiła:

- Torstein!

- Co takiego?

- Oboje przemokliśmy. Wejdźmy do domu i ogrzejmy się trochę. Skończysz później. Może przestanie padać.

Torstein odłożył łopatę.

- Masz rację, przemarzłem.

- Chodź - powiedziała.

Postanowiła nie spuszczać go z oczu. Wzięła go za rękę i uśmiechnęła się przymilnie. Kiedy skręcili za róg domu, poczuła ulgę. Wiedziała, że niczego nie zauważył. Teraz musiała wymyślić coś, żeby zatrzymać go w chacie i odwrócić jego uwagę. Wtedy wyjdzie niepostrzeżenie i zasypie sterczącą z ziemi rękę, a potem przykryje ją ziemią i kamieniami.

Torstein zdjął kurtkę, Elise zaś podeszła do paleniska i zaczęła grzać ręce. Drżała, ale bynajmniej nie z zimna. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Cały czas zastanawiała się, co ma zrobić.

Zerknęła na Torsteina, który stał teraz z nagim torsem i grzał się przy ogniu. Podeszła do niego i przeciągnęła dłonią po jego klatce piersiowej.

- Może położymy się na chwilę? Masz ochotę? - szepnęła zalotnie.

- Pragniesz mnie? - uśmiechnął się. Odwzajemniła jego uśmiech.

- Zawsze cię pragnę - zapewniła. - Wiesz przecież, że cię kocham.

Torstein przyciągnął ją do siebie, ich usta się spotkały. Spojrzała w jego ciemne oczy. Bała się, że nagle może się zmienić. Przez moment straciła wszelką ochotę, ale kiedy zaczął ją całować, poddała się jego pieścizotom i wszystkie złe myśli zniknęły.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Zdjął spodnie, a ona ściągnęła przemoczoną sukienkę i rzuciła ją na podłogę. Naga, czuła na sobie jego wygłodniałe spojrzenie.

Położył się na niej, pocałował ją i zaczął przesuwać dłonią po jej udzie, coraz wyżej i wyżej. Rozkoszowała się jego dotykiem, jego

pożądaniem. Po chwili zapomniała o wszystkim, zamknęła oczy i oddała mu się z ochotą.

Nagle obudziła się i usiadła na łóżku. Spojrzała na Torsteina, który leżał obok niej i chrapał. Kochali się, a potem oboje usnęli! Wyjrzała przez okno. Deszcz przestał padać, na dworze panował mrok. Czyżby był już wieczór?

Musiała się pośpieszyć, ale też zachować spokój. Torstein nie mógł się obudzić, dopóki ona nie zasypie ręki Ivera.

Wstała, szybko się ubrała i wyszła na podwórze.

Potem pobiegła za róg domu, wzięła łopatę i zaczęła zasypywać wystającą z ziemi dłoń. Skończyła, odłożyła łopatę i znalazła kamień tak ciężki, że ledwie go udźwignęła. Położyła go na ziemi i odetchnęła z ulgą. Przyniosła jeszcze trzy kamienie, kiedy z domu wyszedł Torstein. Stał na schodach, tylko w spodniach, i zdezorientowany drapał się po głowie.

- Co ty robisz? - spytał.

- Obudziłam się i postanowiłam ci pomóc. Nie chciałam cię budzić - odparła.

Uśmiechnęła się, była spokojna i opanowana.

- Nie powinnaś zajmować się takimi rzeczami. Twoje miejsce jest w kuchni - stwierdził Torstein.

Spojrzała na niego zdziwiona, przekonana, że żartuje. Ale on mówił poważnie.

- Co się z tobą dzieje? - rzuciła poirytowana. Przed chwilą się kochali, było im ze sobą dobrze, a teraz znów miał do niej pretensje.

- Jest mi smutno. Mój brat zniknął, ale cały czas mam go przed oczami. Tęsknię za nim.

- Połóż się i odpocznij. Nie musisz się na mnie złościć. Robię, co mogę. Naprawdę się staram - zapewniła i zrobiła zatroskaną minę.

- Nie chcę spać. Daj, zajmę się tym.

Wziął łopatę i podszedł pod ścianę domu. Elise zerknęła na miejsce, gdzie pochowała Ivera. Uznała, że jest bezpieczne. Kamienie przytrzymywały ziemię, więc nie powinna się osuwać.

Postanowiła wrócić do domu. Przechodząc obok piwniczki ziemnej, znów usłyszała głosy. W pierwszej chwili poczuła lęk, ale zaraz się opanowała. Postanowiła, że już nigdy więcej tam nie zajrzy.

Ruszyła dalej ścieżką. Słońce wyjrzało zza chmur i zrobiło się nieco jaśniej. Do wieczora zostało jeszcze trochę czasu.

Pomyślała o kobiecie, która jej wróżyła. Czy powinna do niej wrócić i powiedzieć, że wszystko dobrze się ułożyło? Nie, Anikka na pewno to wiedziała.

Elise zaczęła coś sobie nucić, ale zaraz zamilkła, bo nagle na wzgórzu zobaczyła mężczyznę. Miał długie siwe włosy i kapelusz z szerokim rondem. Był normalnie ubrany, w samodziałowe spodnie i białą koszulę.

Zatrzymała się i zaczęła mu się przyglądać. Zastanawiała się, czemu tak stoi i w co się wpatruje. Zawołała do niego, ale on nadal stał i milcząc, patrzył przed siebie.

- Kim jesteś? - krzyknęła.

Nie dostała odpowiedzi. Mężczyzna nawet się nie poruszył. Poczula, że ściska się jej żołądek.

Odwróciła się i już chciała odejść, kiedy nagle wyrósł przed nią. Z bliska zauważyła, że nie ma oczu.

- Kim jesteś? - powtórzyła przerażona. Mężczyzna nie ruszył się i nadal milczał. Elise wyminęła go, ale po chwili on znów pojawił się przed nią.

- Proszę, pozwól mi przejść - zwróciła się do niego błagalnie, a gdy nie posłuchał, usiadła na ziemi i rozsłochała się z bezsilności.

O co tu chodziło? O zemstę za to, że odebrała komuś życie? Pewnie tak. Kim była ta dziwna postać? Na pewno nie człowiekiem z krwi i kości. Czyżby więc Posępnym Starcem, którego widywał Torstein? Tym, który go tak odmienił? Podniosła ostrożnie głowę i otarła łzy.

Postać zniknęła. Rozejrzała się dookoła, ale nikogo już nie zobaczyła. Wstała i pobiegła ścieżką, a serce waliło jej jak szalone. Wpadła na podwórze i zawołała przejęta:

- Torstein!

Po chwili Torstein wyłonił się zza domu. Był brudny, a na twarzy miał ślady gliny.

- Czego tak wrzeszczysz? - spytał ze złością. Miała ochotę go uderzyć. Myślał wyłącznie o sobie. Podbiegła do niego.

- Wydarzyło się coś dziwnego. Na ścieżce stanął przede mną mężczyzna. To znaczy nie prawdziwy mężczyzna, tylko zjawa. Stał i

patrzył, i nie chciał mnie przepuścić. Okropnie się wystraszyłam - wyrzuciła z siebie zdyszana.

Torstein zbladł.

- Coś ty zrobiła?

Przeciągnął dłonią po twarzy i przyglądał się jej przerażony.

- Nic nie zrobiłam. To ten sam mężczyzna, który...

- Czemu przyszedł do ciebie? Zabiłaś kogoś?

- Co takiego?

- Przychodził do nas zawsze, gdy zabijaliśmy jakieś zwierzę.

Musisz mieć coś na sumieniu.

- Nie zrobiłam niczego złego.

- Musiałaś. Iver śmiał się z niego. Nigdy się go nie bał, ale ja zawsze bardzo to przeżywałam. Chyba miał nam za złe sposób, w jaki zabijaliśmy zwierzęta. Byliśmy zbyt okrutni.

- Nie chcę tu dłużej być - stwierdziła nagle Elise i zadrżała. - Przerażasz mnie - dodała.

- Zajmowałam się magią, Elise. To miejsce nie jest dla ciebie bezpieczne. Powinnaś je opuścić. Nigdy nie wiem, co się kiedy wydarzy. Nagle się zmieniam, coś się ze mną dzieje, a potem budzę się w różnych dziwnych miejscach.

Elise przełknęła ślinę. Nie podobało jej się to, co usłyszała. Widywała go już w takim stanie, wiedziała, że coś go gnębi; coś, co ją przerastało. Ale przeraziła się, kiedy sam się do tego przyznał.

- Nie chcę cię opuszczać, Torstein. Kocham cię, ale...

- Zabiłaś kogoś? Zadałem ci pytanie i oczekuję odpowiedzi.

Elise cofnęła się nieco. Nie mogła powiedzieć mu o Iverze, musiała skłamać. Oby tylko Torstein jej uwierzył.

- Nikogo nie zabiłam. Kiedyś ustrzeliłam zająca, ale to było dawno temu.

- Zająca?! Co ty opowiadasz? Masz mnie za głupka? Odpowiedz mi!

Elise znów zadrżała. Torstein był poważny, bała się go. Zrobiła krok do tyłu i nagle poczuła, że opiera się o coś miękkiego. Odwróciła się i wtedy go zobaczyła.

Za nią stał białowłosy Posępny Starzec.

Rozdział 18

Ole był w drodze do Kongsvinger. Spotkał rodzinę, która widziała jasnowłosą brzemenną kobietę i brudnego zaniedbanego mężczyznę. Ta dziwna para zmierzała do miasta. Zwracała uwagę swoim niedopasowaniem i tym, że mężczyzna źle się odnosił do swej towarzyszki.

Ole uznał to za ważny ślad. Rodzina bardzo dokładnie opisała kobietę i nie miał wątpliwości, że to była Amalie. To musiała być ona!

Dał znać swoim ludziom, żeby się pośpieszyli. Ściągnął cugle i ruszyli galopem. Wkrótce ujrzeli przed sobą stację kolejową.

Po peronie spacerowali mężczyźni i kobiety oczekujący na pociąg. Zastanawiał się, czy Anjalan wywiózł gdzieś Amalie, czy też zatrzymał się z nią w mieście.

Postanowił, że rozpocznie poszukiwania od rozmowy z zawiadowcą stacji. Zsiadł z konia i przywiązał go do ogrodzenia. Pozostali zrobili to samo, po czym wszyscy udali się do budynku stacji.

Ole podszedł do kasy.

- Dokąd pan jedzie? - spytał kasjer.

- Nigdzie się nie wybieram, ale chciałbym porozmawiać z zawiadowcą. To pan?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Zawiadowca jest zajęty - odpowiedział.

- Więc może pan będzie mógł mi pomóc. Moja żona została uprowadzona. Przez mężczyznę, Fina o jasnych włosach. Prawdopodobnie wsiedli tu w pociąg. Może pan ich widział? - spytał Ole i dokładnie opisał Amalie.

Kasjer zmarszczył brwi i zamyślił się głęboko.

- Jakiś czas temu była tu taka para - odparł po chwili. - Mężczyzna kupił dwa bilety do Kristianii. Zapamiętałem ich, bo cały czas popychał kobietę, która wydawała się bardzo zalekniona.

Ole uderzył pięścią w ladę, ale opamiętał się, gdy zobaczył przestraszone spojrzenie mężczyzny.

- Prawdopodobnie jest teraz w Kristianii - dodał kasjer.

Ole stał jeszcze chwilę przy okienku. Drżał.

Pogoda była piękna, świeciło słońce i wiała przyjemna bryza. Amalie, podobnie jak spora część pasażerów, spacerowała po pokładzie. Wychyliła się za burtę i patrzyła na spienione fale. Jutro dopłyną do

Londynu. Nadal nie wiedziała, co wtedy zrobi, miała jednak nadzieję, że pomoże jej kapitan, który wiedział, że nikogo tam nie zna. Anjalan był w areszcie, więc z jego strony nie musiała się niczego obawiać. Podniosła głowę i zobaczyła łopoczące na wietrze białe żagle. Kawalek dalej na ławce siedziało małżeństwo z chłopcem, który mógł mieć dwa, może trzy latka. Jego widok sprawił, że zatęskniła za dziećmi i zrobiło jej się smutno.

Jak radził sobie Sigmund? Jej ukochany synek, którego pasją były owady. Mógł się im przyglądać godzinami. A mały Oddvar? Jak on się czuł? Otarła łzę i pomyślała o dziewczynkach. Helen zawsze była rozsądna i opanowana, więc pewnie z nią nie ma kłopotu. A uparta Kajsa? Chyba nie daje się za bardzo we znaki służbie?

Nagle zobaczyła, że idzie do niej pan Arnesen. Podszedł i powitał ją z uśmiechem.

- Dzień dobry, pani Hamnes. Wyszła pani zażyć świeżego powietrza?

- Tak, korzystam z pięknej pogody. I ze słońca.

- Miejmy nadzieję, że w Londynie będzie podobnie. O tej porze roku zwykle jest tam ciepło, ale mokro. To zupełnie inny klimat niż w Norwegii.

- Nie wiedziałam.

- Ale teraz raczej nie powinno padać. - Uśmiechnął się uprzejmie. - Proszę mi wybaczyć, lecz czeka na mnie pewna dama. - Skłonił się i odszedł.

Amalie uśmiechnęła się do siebie. Pan Arnesen był miłym człowiekiem. Rozejrzała się, znalazła wolne krzesło i usiadła. Znów spojrzała na wodę. Poczula na twarzy przyjemną bryzę i zamknęła oczy. Pomyślała o Wilku. Czy przeżył? Potem stanął jej przed oczami Ole. Jakże za nim tęskniła! Po jej policzkach popłynęły łzy, ale szybko wzięła się w garść. Wróci do domu! Była tego pewna, i ta myśl pozwalała jej wszystko przetrwać.

Nagle drgnęła, bo obok niej usiadła młoda kobieta, właściwie dziewczyna, i skinęła jej głową. Przez chwilę milczała zapatrzona w morze, a później odwróciła się i zagadnęła:

- Obserwuję panią od jakiegoś czasu. Podróżuje pani samotnie?

Amalie potwierdziła.

- Tak, ale zaprzyjaźniłam się z kapitanem.

- Gdzie mieszka pani w Londynie? - dopytywała dziewczyna.

Miała nie więcej niż osiemnaście lat i była ładnie ubrana w czerwoną bawełnianą sukienkę, podkreślającą niebieski kolor jej oczu. Jasne włosy splotła w warkocz.

- Nie mieszkam w Londynie - odpowiedziała Amalie z uśmiechem.

- Wkrótce wracam do Kristianii.

Dziewczyna skinęła głową.

- Bardzo panią przepraszam, zapomniałam się przedstawić. Nazywam się Hilda Jensdatter.

- Amalie Hannes.

- Miło mi panią poznać. Życzę przyjemnego pobytu w Londynie.

- Dziękuję.

Amalie sądziła, że dziewczyna zaraz odejdzie, ale tak się nie stało. Siedziały chwilę w milczeniu, po czym Hilda znów się odezwała:

- Jadę spotkać się z moim narzeczonym. Jest bardzo majątnym człowiekiem. Ma dwupiętrowy dom w Kensington. To elegancka dzielnica - wyjaśniła. - Miałam szczęście - dodała z uśmiechem.

Amalie wydało się jednak, że wyczuwa w jej głosie nutkę smutku. Zdziwiło ją to trochę, ale uznała, że nie powinna mieszać się w jej sprawy. Znów spojrzała na morze, które stawało się coraz bardziej niespokojne.

Hilda najwyraźniej też to zauważyła.

- Czyżby znowu zbierało się na sztorm? Noc była okropna - powiedziała zaniepokojona.

- Miejmy nadzieję, że dzisiejsza będzie spokojniejsza - próbowała pocieszyć ją Amalie.

- Nie przywykłam do tak długich rejsów. Nie wiedziałam, że podróż trwa cały tydzień.

- Ja też nie - przyznała Amalie. Hilda wskazała ręką na niebo.

- Proszę spojrzeć na te czarne chmury.

Amalie uniosła głowę i poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

- Wygląda na to, że jednak będzie sztorm. - Niestety, chyba tak.

Bardzo panią przepraszam,

ale muszę wracać do rodziców. Pewnie się o mnie niepokoją.

Amalie uśmiechnęła się i zapewniła:

- Miło mi było panią poznać.

- Mnie również. Miejmy nadzieję, że noc rzeczywiście będzie spokojniejsza niż poprzednia - rzuciła Hilda i znów spojrzała na niebo.

- Oby - westchnęła Amalie.

Dziewczyna podniosła się, poprawiła sukienkę i odeszła. Amalie została sama. Poczowała na twarzy chłodny powiew wiatru, a po chwili spadły pierwsze krople deszczu. Wiatr szybko przybierał na sile i zrobiło się ciemno. Zadrżała z zimna i wstała. Zauważyła, że ludzie śpieszą do kajut.

Podeszła do jednego z marynarzy.

- Wygląda na to, że pogoda się psuje - zagadnęła. Marynarz pokiwał głową.

- Musimy być przygotowani na sztorm, pani Hammes.

- Dziękuję za informację.

Marynarz otworzył jej drzwi na korytarz, który prowadził do mesy. W środku było sporo osób, z których część Amalie zdążyła już poznać. Niektórzy rozmawiali, starsze małżeństwo grało w karty. Pomyślała, że może powinna wypić coś na uspokojenie, ale złękła się mdłości i zrezygnowała.

Usiadła przy jednym z wolnych stolików i nagle poczuła tak silne kołysanie statku, że zrobiło jej się niedobrze. Nie chciała jednak schodzić jeszcze do kajuty.

Usłyszała, jak ludzie obok niej rozmawiają o czymś z przejęciem i zaniepokojeni wyglądają przez bulaj. Wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, co wzbudziło ich niepokój, ale z miejsca, gdzie siedziała, nic nie mogła dojrzeć. Wstała więc i na chwiejnych nogach podeszła do grupki osób, które były tak zajęte rozmową, że nawet jej nie zauważyły. Usiadła obok nich i spojrzała w okienko. Patrzyła przerażona. Tak ogromnych fal w życiu nie widziała. Jakby miała przed sobą ścianę wody. Chwyciła się mocniej blatu stołu.

- Boże drogi! - krzyknęła kobieta obok niej. - To się może źle skończyć! Boję się!

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i Amalie się odwróciła. Zobaczyła, że jeden z mężczyzn pochyła się, aby zebrać odłamki. Nagle upadł i zaklął siarczyście.

Do mesy wszedł kapitan, który też z trudem utrzymywał równowagę.

- Proszę, aby wszyscy udali się do swoich kajut. I pozostali tam, aż dam znać, że można wyjść. W nocy będzie sztorm, ale zrobimy, co w naszej mocy, żeby statek bezpiecznie zawinął do portu.

Zamilkł i po chwili dyskretnie przywołał gestem Amalie. Podeszła do niego, chwiejąc się na nogach. - Tak?

Kapitan odchrząknął.

- Zajmowała się pani kiedyś chorymi?

- Owszem, ale czemu pan pyta? Kapitan ściszył głos.

- Mamy chorobę na pokładzie. Nie wiemy dokładnie, co to jest, więc nie możemy płynąć do Londynu. Dlatego zawracamy do Kopenhagi.

- Naprawdę?

Amalie się ucieszyła. Wracają! Nie do wiary. Nie płyną do Londynu! Niewiele brakowało, a wyściskałaby kapitana z radości. Kiedy jednak zobaczyła jego poważną minę, zrozumiała, że byłoby to niestosowne.

- Nie możemy ryzykować - ciągnął kapitan.

- Co wiadomo o chorobie? - spytała Amalie i przełknęła ślinę.

- Niewiele. Ale jeden z pasażerów już zmarł.

- Boże, to brzmi poważnie.

- Niestety, tak - przyznał kapitan. - Sam nie czuję się najlepiej. Mam nadzieję, że się nie zaraziłem.

- Jakie są objawy choroby? - dopytywała Amalie. Nagle przeraziła się, że zaraza może się rozprzestrzenić.

- Wysoka temperatura, wymioty i bóle brzucha - poinformował kapitan. - Pomoże nam pani?

Amalie nie mogła odmówić. Wiele zawdzięczała kapitanowi.

- Tak, oczywiście, jeśli tylko będę mogła się na coś przydać...

- Miło mi to słyszeć. Teraz muszę powiadomić pasażerów.

Wyszedł na środek mesy i poprosił o uwagę.

- Szanowni państwo, zawracamy do Kopenhagi. Nie możemy cumować w Londynie, ponieważ mamy na pokładzie chorobę. Dlatego proszę, żeby wszyscy zeszli do kajut i tam pozostali. Zresztą zbliża się sztorm.

Ludzie patrzyli na siebie przerażeni, wymieniali uwagi i kręcili głowami.

Kapitan wziął Amalie pod rękę i poprowadził w stronę długiego korytarza.

- Wiem, że pasażerowie są niezadowoleni, ale nie mogłem podjąć innej decyzji. Musimy zawrócić.

Podprowadził ją do kajuty i powiedział:

- Proszę wejść i poczekać na mnie. Za chwilę po panią przyjdę.

Amalie weszła do środka i zobaczyła, że na suficie kołysze się lampa, na szczęście niezapalona. Zrobiło jej się niedobrze, więc położyła się na łóżku i próbowała poddać się rytmowi fal, ale niewiele to pomagało. Zamknęła oczy i starała się myśleć o czymś innym. Była zaniepokojona sytuacją na pokładzie. Podobno chorych przybywało. A jeśli i ona się zarazi? Jeśli zachoruje i nie wróci do Olego ani do dzieci? Ta myśl zdawała się nie do wytrzymania.

Nagle statek gwałtownie się przechylił i Amalie otworzyła oczy. Po chwili znów się przechylił, tym razem na drugą stronę. Przytrzymała się łóżka, żeby nie spaść na podłogę. Sztorm przybierał na sile, wiatr się wzmacniał, przez świetlik widziała spienione czubki fal. Cały czas walczyła z mdłościami. Miała jednak nadzieję, że wkrótce morze się uspokoi.

Usłyszała pukanie do drzwi, więc usiadła na koi i zawołała:

- Proszę!

Do kajuty wszedł kapitan.

- Chciałem tylko powiedzieć, że na razie nie potrzebujemy pani pomocy. Chorymi zajmują się młode dziewczyny i nieźle dają sobie radę. Jest pani w odmiennym stanie, więc lepiej, żeby została pani tutaj. Pasażerowie są bardzo wystraszeni. Poprosiłem marynarzy, żeby spróbowali ich uspokoić i przekonać, aby udali się do swoich kajut.

Amalie kiwnęła głową.

- Proszę dać znać, jeśli będę mogła do czegoś się przydać. I proszę mi szczerze powiedzieć: czy statek przetrzyma sztorm?

- Mam taką nadzieję. Bywało już gorzej - odparł kapitan. - W razie czego jestem na mostku - dodał.

- Rozumiem. I dziękuję za informację.

- Niech pani spróbuje trochę się przespać.

Wszedł, a ona znów położyła się na łóżku. Uznała, że nie ma sensu się rozbierać. Postanowiła zdrzemnąć się w sukience.

Zamknęła oczy i dopiero wtedy poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Znowu powędrowała myślami do swoich bliskich. Mdłości powoli ustępowały. Ziewnęła, ułożyła się wygodniej i wkrótce zasnęła.

Rozdział 19

Amalie obudziła się zaspana i ziewnęła. Statkiem przestało kołysać, wokół panowała cisza, sztorm najwyraźniej minął. Odetchnęła z ulgą. Wracała do domu, do Olego i dzieci! Nagle przypomniała sobie o panującej na statku chorobie i znów się zaniepokoiła. A jeśli i ona się zaraziła?

Poderwała się z pośłania, szybko wstała, poprawiła sukienkę i wyszczotkowała włosy. Postanowiła nie myśleć o przykrych sprawach.

Nagle usłyszała, że ktoś ciężko wzdycha, i stanęła zaniepokojona. Zajrzała za kotarę i zobaczyła leżącego na łóżku kapitana. Trzymał się za brzuch i wił z bólu. Był blady, włosy miał zmierzwione. Na podłodze obok koi zauważyła wymiociny.

Zakryła usta dłonią i podeszła bliżej.

- Kapitanie!

Odór wymiocin był tak silny, że zrobiło jej się niedobrze. Zatkła palcami nos i powtórzyła:

- Kapitanie?

Kapitan przewrócił się na plecy i spojrzał na nią mętnym wzrokiem. Czoło miał spocone, policzki czerwone od gorączki.

- Nie dałem już rady - jęknął. - Jestem chory. Na mostku został sternik i trzech marynarze.

- To straszne. A co z innymi chorymi? - spytała przerażona.

- Nie wiem, pani Hammes. W każdym razie udało nam się uspokoić pasażerów. Wszyscy są w kajutach. Nie chcę, żeby ludzie zarażali się nawzajem. Przynajmniej tyle udało nam się zrobić - wychrypiał kapitan i wykrzywił się z bólu.

- Ktoś pomaga chorym? - dopytywała Amalie.

- Tak, dwie kobiety zgłosiły się na ochotnika. Jeśli pani chce, to proszę iść do mesy. Być może doszli nam nowi chorzy...

- Dobrze, zajrzę tam. Ale pan też potrzebuje pomocy. Poza tym ktoś tu musi posprzątać. Kapitan machnął ręką.

- Proszę się tym nie przejmować. Zaraz przyjdzie posługaczka i zrobi tu porządek. Proszę już iść. - Westchnął głęboko i zamknął oczy.

- Dobrze, już idę - szepnęła.

Wyszła z kajuty z ciężkim sercem. Przykro jej było zostawiać kapitana w tak poważnym stanie. I co teraz z nimi będzie?

W mesie panował straszliwy odór. Wszędzie leżeli ludzie przykryci kocami, podłoga była brudna od wymiocin. Jakaś młoda dziewczyna biegła z mokrymi ścierkami i wycierała spocone czoła chorych. Druga szorowała podłogę. To była Hilda, z którą Amalie rozmawiała niedawno na pokładzie.

Podeszła do niej, a Hilda podniosła głowę i powiedziała:

- To straszne. Coraz więcej ludzi choruje. - Otarła czoło rękawem. - Dobrze, że się pani zjawiała, dwie dziewczyny poszły właśnie odpocząć.

Amalie rozejrzała się dookoła.

- Zaraza szybko się rozprzestrzenia - zauważyła zaniepokojona.

- Proszę wziąć szmatę albo szczotkę i miskę z wodą. Musimy spróbować utrzymać porządek - zarządziła Hilda.

Amalie wzięła szczotkę i zaczęła szorować podłogę szarym mydłem. Już po chwili była spocona, poza tym cały czas walczyła z mdłościami.

Druga z dziewczyn myła teraz chorych i podawała im wodę do picia.

Hilda wyprostowała się i westchnęła.

- Boję się, że sytuacja może się pogorszyć. Na domiar złego zachorował kapitan.

Amalie skinęła głową. Widziała strach i niepewność w oczach dziewczyny. Nagle jej uwagę zwrócił mężczyzna, który głośno krzyczał i skręcał się z bólu. Podeszła i uklękła przy nim.

- Co panu dolega? - spytała.

- Strasznie mnie boli.

Zobaczyła, że to młody chłopak. Szesnasto-, może siedemnastoletni.

- Wiem.

Odgarnęła mu z oczu wilgotny kosmyk i poczuła, że chłopiec jest rozpalony. Sięgnęła po mokrą szmatkę i przyłożyła mu ją do czoła.

- Spróbuj się trochę odprężyć. Wszystko będzie dobrze - uspokajała go, ale on tylko pokręcił głową.

- Nie. Widziałem tego drugiego chłopaka; tego, który umarł. Upadł, zrobił się biały jak kreda i po chwili już nie żył. Nigdy jeszcze nie widziałem trupa.

Chłopiec był przerażony. Patrzył na nią wielkimi niebieskimi oczami, a ona nie wiedziała, jak go pocieszyć.

Podeszła do nich Hilda, chwyciła go za rękę i powiedziała łagodnie jak do dziecka:

- Musisz wziąć się w garść, bo będziemy musieli gdzieś cię przenieść.

Chłopak spojrzał na nią i zamknął oczy.

- Leż spokojnie i spróbuj zasnąć. Wtedy odzyskasz siły. Jesteś młody i silny, wyjdiesz z tego.

- Nie wierzę ci. Widziałem, jak tamten drugi chłopak umarł. Wszyscy umrzemy - stwierdził, a po jego policzku potoczyły się łzy. Po chwili jednak nieco się opanował.

- Zajmę się nim - rzuciła Amalie cicho.

- Dobrze.

Hilda odeszła i zajęła się kobietą, która właśnie wymiotowała. Amalie zmieniła chłopcu okład i odetchnęła z ulgą, gdy zasnął. Widziała, jak bardzo bał się śmierci i jak bardzo cierpiał.

Podeszła do starszej kobiety, która leżała na plecach i trzymała się za czoło. Usiadła obok niej.

- Jak się pani czuje?

- Zdarzało mi się czuć lepiej - wymamrotała kobieta. - A pani nie boi się zachorować? - spytała;

Kobieta miała zmęczone oczy, lecz nie wymiotowała. Amalie uznała to za dobry znak.

- Boję się - przyznała. - Ale ktoś musi pomagać chorym.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Nie wszyscy tak do tego podchodzą - stwierdziła kobieta. - Podróżuję z córką, która prawie wyrzuciła mnie z kajuty, jak tylko źle się poczułam.

- Przykro mi to słyszeć - odparła Amalie ze współczuciem. - Zaopiekujemy się panią - dodała pocieszająco.

- No cóż, podziwiam waszą odwagę. To może być cholera albo inna niebezpieczna choroba.

- Co takiego?!

Amalie słyszała o cholery. Chorzy zwykle wymiotowali i mieli biegunkę. Nie chciała jednak zakładać najgorszego.

- Boję się, że to może być to - ciągnęła kobieta, patrząc jej w oczy.

- Nie chcę pani straszyć, ale coraz więcej osób choruje, więc nic dziwnego, że różne myśli przychodzą człowiekowi do głowy.

Amalie znów się rozejrzała. Na podłodze leżało z piętnaście osób. A ile było w kajutach? I ile jeszcze zachoruje? Kapitan obawiał się epidemii. Kiedy z nim rozmawiała, widziała strach w jego oczach. Czyżby wiedział coś, o czym wolał nie mówić? Czy ich wszystkich czekała śmierć?

Rozdział 20

Amalie była tak zmęczona, że kręciło jej się w głowie. Chorych cały czas przybywało. Razem z Hildą bez przerwy się nimi zajmowały, poza tym sprzątały, myły podłogę i dbały o czystość, Hilda też padała już z nóg. A dziewczyna, która im pomagała, gdzieś zniknęła. Amalie bała się, że zachorowała. Postanowiła wrócić do kajuty i trochę odpocząć.

Była wykończona, musiała odzyskać siły. Hilda poszła się położyć już wcześniej. W mesie zostało tylko dwóch marynarzy. Amalie obawiała się, że nie będą pomagać chorym. Nikt nie chciał się zarazić.

Weszła do kajuty i zajrzała do leżącego za przepierzeniem kapitana. Siedziała przy nim młoda dziewczyna i wycierała mu twarz szmatką. Amalie odniosła wrażenie, że kapitan wygląda gorzej niż przed kilkoma godzinami. Zadrżała. Jak się to wszystko skończy?

A jeśli rzeczywiście była to ta straszna choroba, o której mówiła starsza pani? Nie, nawet nie chciała o tym myśleć. Położyła się na łóżku. Ruchy fal szybko ją ukołysały, zamknęła oczy i usnęła.

Obudziły ją czyjeś głosy. W kajucie rozmawiali jacyś ludzie.

Wstała, podeszła do kotary i ją odsunęła. Zobaczyła trzech mężczyzn i posługaczkę, która opiekowała się kapitanem. Dziewczyna żałośnie szlochała.

Amalie podeszła bliżej i spojrzała na łóżko. Leżał na nim nieruchomo kapitan. Dłonie miał złożone, oczy zamknięte, twarz kredowobiałą.

- Co z nim? - spytała, chociaż dobrze wiedziała, co się stało.

Dziewczyna cofnęła się i otarła łzy.

- Nie żyje. Nie udało mi się go uratować! - załkała.

Amalie poczuła wewnętrzny chłód. Ten energiczny, sympatyczny mężczyzna leżał martwy. Nie знаła go dobrze, ale zdążyła polubić. Był dla niej taki życzliwy. I zawsze uprzejmy. Nadzwyczaj uprzejmy, pomyślała i z jej oczu pociekły łzy.

Wszedł doktor, usiadł na brzegu łóżka, wyjął z torby słuchawki i przyłożył je do klatki piersiowej kapitana. Słuchał chwilę w skupieniu, po czym ze smutkiem przeciągnął ręką po twarzy.

- Nie żyje - stwierdził. - To podstępna choroba - dodał.

Amalie podeszła do niego.

- Co to za choroba? - zadała pytanie.

Bała się, że wszyscy na statku podzielą los kapitana. Doktor podniósł głowę i spojrzął na nią smutno.

- Niestety, nie wiem. Dwie osoby już zmarły, obawiam się, że ofiar może być więcej.

- Niektórzy uważają, że to cholera. Doktor pokręcił głową.

- Cholera? Nie, nie sędzę. Dawno już nie mieliśmy epidemii cholery. Źródło choroby może tkwić w jedzeniu albo w wodzie. Sprawdziłem wszystkie kajuty, rozmawiałem z ludźmi. Na razie chorych nie przybywa.

- Jest pan całkowicie pewien, doktorze?

- Nie, nie całkowicie.

Wstał i schował słuchawki do torby.

- Muszę iść, chorzy mnie potrzebują - powiedział i wyszedł pośpiesznie.

Trzej marynarze też opuścili kajutę, została jedynie dziewczyna, która do końca opiekowała się kapitanem. Okryła ciało kocem, złożyła zmarłemu dłońe, schyliła głowę i zaczęła się modlić.

Amalie poszła do siebie i opadła na kolę. Cały czas miała przed oczami kapitana. Znow zaczęła płakać. Kapitan bardzo jej pomógł, był przy niej, kiedy najbardziej tego potrzebowała.

Usłyszała, że mężczyźni wracają, i nadstawiła uszu.

- Musimy przenieść ciało - stwierdził jeden z nich. - Położymy je w ładowni. Wkrótce będziemy w Kopenhadze. Stamtąd zawiadomimy rodzinę - dodał drugi.

- Ja się tego nie podejmuję - odezwał się trzeci. - Wcale się tego po tobie nie spodziewałem. Amalie usiadła i przez szczelinę w kotarze patrzyła, jak mężczyźni wynoszą ciało kapitana, a za nimi podąża dziewczyna, która się nim opiekowała. Westchnęła głośno i splótła palce. Nagle pomyślała o panu Arnesenie. Co z nim? Ostatni raz widziała go już jakiś czas temu.

Nie czuła się dobrze, ale wstała i wyszła z kajuty. W wąskim korytarzu panowała cisza. Nie dochodziły tu żadne głosy.

Poszła do mesy, gdzie doktor badał chorych.

Starsza pani, którą wcześniej się zajmowała, teraz spała spokojnie. Oddychała równo i nie była już tak blada jak wcześniej. Wyglądało na to, że wraca do zdrowia. Amalie pomyślała, że przypomina jej Helgę. Przykre, że miała taką nieczulą i bezwzględną córkę.

Dołączyła do niej Hilda.

- Obudziłam się i nie mogłam już zasnąć. Rodzice nadal śpią - powiedziała, tłumiąc ziewanie.

- Są zdrowi? - zainteresowała się Amalie.

- Tak, są silni. Nie pamiętam, kiedy ostatnio coś im dolegało.

Podszedł do nich doktor.

- Pani Hammes! Co pani tu robi, na Boga?! Amalie się zmieszała.

- Opiekuję się chorymi - odparła szybko.

- W pani stanie?! Nie wolno pani! Powinna pani trzymać się z daleka od chorych. Chce pani zaszkodzić dziecku?

- Nie, ale kapitan prosił mnie, żebym...

- Proszę natychmiast stąd wyjść! Najlepiej niech pani wyjdzie na pokład i zaczerpnie świeżego powietrza.

I proszę bardzo starannie umyć ręce. To choroba zakaźna. Ja... - Doktor zamilkł i spojrzał na nią bezradnie. - Chorych ciągle przybywa. Nie wiem, co robić!

- Chorych przybywa? - powtórzyła zaniepokojona Amalie. - Przecież mówił pan, że...

- Tak, ale sytuacja się zmieniła. Przed chwilą dowiedziałem się, że zachorowała trójka dzieci. Wymiotują, a rodzice nie chcieli tego zgłosić.

- Coś podobnego! - wykrzyknęła Hilda. - Jeśli ludzie nie będą nas informować, nie opanujemy choroby.

- Niech marynarze dopilnują, żeby te dzieci nie wychodziły z kajuty. Przejdę się po statku i sprawdzę, czy ktoś jeszcze zachorował.

Amalie stała jak sparaliżowana. Słowa doktora ją przeraziły.

- Pójdę zaczerpnąć powietrza - rzuciła nagle i szybko wybiegła z mesy.

Usiadła na pokładzie i spojrzała na morze. Gdzieś tam w oddali leżała Dania. Miała nadzieję, że w Kopenhadze będą mogli zejść na ląd. Na pokładzie było dwóch zmarłych i wielu chorych. Znow zaczęła się zastanawiać, jak się to wszystko skończy.

Nagle zobaczyła znajomą postać. To pan Arnesen! Wstała i ruszyła mu na spotkanie.

- Jak się pan czuje? - zawołała.

- Ja? Jestem chory, pani Hammes.

Amalie spojrzała na jego bladą twarz i mętne oczy i aż się cofnęła. Nie chciała stać zbyt blisko niego.

- Zawiadomił pan lekarza?

- Nie. Po co? Wyszedłem na pokład poodychać świeżym powietrzem.

- Powinien pan leżeć w łóżku. Na pokładzie zaraża pan innych.

- Nie widzę tu nikogo, z wyjątkiem pani, oczywiście.

- Proszę się zwrócić do doktora, żeby pana zbadał. Jest w mesie, zajmuje się chorymi.

Pan Arnesen pokręcił głową.

- Nie ma takiej konieczności. Radzę sobie. Amalie wiedziała, że mężczyzna ją okłamuje.

Drżały mu ręce, ledwie trzymał się na nogach.

- Zostawiam tu pana. Mam nadzieję, że będzie pan rozsądny i zgłosi się do doktora.

Chciała go wyminąć, ale on nagle złapał ją za rękę i przytrzymał.

- Nie mam z kim rozmawiać. Dziewczyna, którą poznałem, zamknęła się w kajucie. Nie chce, żebym się do niej zbliżał. Tacy są ludzie! - uskarżył się rozzalony.

Amalie zaczynała być zła.

- Proszę mnie puścić. Muszę się położyć i odpocząć.

- Ale chyba może mnie pani wysłuchać? Raptem puścił ją i głośno jęknął. Złapał się za brzuch, podbiegł do burty i zwymiotował. Jego ciało wygięło się w łuk.

Amalie nie chciała dłużej na to patrzeć. Była śmiertelnie przerażona. Doktor nie żartował, kiedy kazał jej wyjść z mesy. Ale przecież wcześniej zajmowała się chorymi. Zadrzała, poczuła, że boli ją brzuch.

Zostawiła pana Arnesena i pobiegła do kajuty. Zamknęła za sobą drzwi i spojrzała na łóżko, na którym jeszcze przed chwilą leżał kapitan. Prześcieradło było zmięte, koc zsunął się na podłogę, na poduszce pozostał odcisnięty kształt głowy.

Podeszła do swojej koi, zdjęła sukienkę i rzuciła ją na podłogę. Miała wrażenie, że cuchnie chorobą. Nalała z wiadra wody do miski i zaczęła się myć. Wyszorowała ręce i twarz, a potem dokładnie wytarła ręcznikiem. Ledwie się położyła, usłyszała pukanie. Nie miała siły wstać, ale pomyślała, że to może być ważne. Powłokła się do drzwi.

- Kto tam? - spytała.

- To ja, Hilda. Muszę z tobą porozmawiać. Amalie otworzyła jej niechętnie. Hilda weszła do środka i oznajmiła:

- Obawiam się, że doktor nas okłamuje. Na statku przybywa chorych. Nie wiem, czemu to ukrywa.

Rozmawiałam z ludźmi, niemal w każdej kajucie ktoś wymiotuje.

Amalie cofnęła się; miała wrażenie, że poczuła od niej odór wymiocin.

- Wracam do łóżka i nie opuszczę go do końca podróży. Boję się zarazić.

- Ja też - przyznała Hilda. - Sytuacja jest poważna. A jeśli to rzeczywiście cholera? Wolę o tym nie myśleć. I nie chcę nocować w kajucie rodziców. Muszę znaleźć sobie jakieś inne miejsce.

- Jeśli chcesz, możesz zostać ze mną - zaproponowała Amalie. Bała się być sama. Pomyślała, że dobrze będzie mieć kogoś w pobliżu.

- Dziękuję, Amalie. Bo chyba mogę tak się do ciebie zwracać? Po tym, co wspólnie przeszliśmy...

- Oczywiście, Hilda! - Amalie pociągnęła ją za sobą do kajuty.

Dziewczyna rozejrzała się uważnie. Była pod wrażeniem.

- To nie to co nasza maleńka kajuta - stwierdziła.

- Kapitan zaprosił mnie do siebie - wyjaśniła Amalie i znów ogarnął ją smutek.

- Słyszałam, że nie żyje - westchnęła Hilda. - Na szczęście na statku są inni, którzy też potrafią nim sterować.

- Kapitan miał dobrą załogę. Ale nie mówmy już o tym. Powinnaś zdjąć sukienkę, bo materiał może przenosić zarazę. Znajdę ci coś do przebrania.

Amalie położyła się na łóżku. Czowała się wyczerpana i było jej gorąco, ale wiedziała, że to nie z powodu gorączki, tylko ze zmęczenia.

- W kajucie rodziców mam czyste suknie. Pójdę po nie, zanim się położymy - odparła Hilda.

- Nie boisz się, że zarazisz rodziców?

- Muszę uważać, żeby na nich nie chuchać.

Amalie wzruszyła ramionami.

- Zrobisz, co zechcesz. Hilda podeszła do drzwi.

- Zaraz wrócę - obiecała.

Amalie została sama. Zamknęła oczy i poczuła, że kręci jej się w głowie. Położyła się na boku i podkuliła nogi. Znowu pomyślała o swoich bliskich, którzy byli tak daleko od niej.

Nagle zrobiło jej się niedobrze. Z bijącym sercem wstała z łóżka. Rozbolał ją żołądek, pociemniało przed oczami. Zgięła się wpół i przytrzymała stołu. Próbowała powstrzymać mdłości. Podeszła do miski i opryskała twarz zimną wodą, ale i to niewiele pomogło.

Była chora! Boże! Na pewno. A przecież miała wrócić do Olego i dzieci. Nie chciała skończyć tak jak kapitan. Znowu zobaczyła przed sobą jego bladą, niemal woskową twarz. Nieruchomą. Nie, nie mogła umrzeć!

Śmiertelnie się bała. Dwie osoby już zmarły, czyżby ona miała być następną ofiarą?

W panice osunęła się na podłogę.

Ole, chcę do ciebie wrócić. Chcę wrócić do domu. Zobaczyć ciebie i dzieci. I Helgę, i Maren, i Juliusa. Chcę do domu. Ole... Ole... - myślała gorączkowo.

Znowu poczuła ból żołądka i zawrót głowy. Zamknęła oczy i nagle wydało jej się, że słyszy śmiech dziecka. Czyżby to Kajsa się śmiała?

Potem dobiegł ją głos Olego. Ciepły i uspokajający:

- Amalie, jestem przy tobie.

Chwilę później pochłonęła ją ciemność.